Nr. 31 (1231). Warszawa, 17 (30) Lipca 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



Łaskawość Koerbera.

Od szmerlingowskiej jeszcze konstytucyi, która roztopiła w niemieckiej wodzie królewskiej czyste złoto patentu październikowego, od słynnej ustawy z d. 27 lutego 1861 r., powstawały na rozbudzającym się z wiekowego snu Śląsku austryackim szkoły ludowe, polskie — z początku bardzo trwożliwie, zrzadka, później, w miarę potężniejącego ducha narodowego, coraz odważniej i częściej, aż wreszcie około r. 1890 można już było w zapomnianym niegdyś, sprzedanym przez Piastów odłamku wielkiej dzielnicy państwa Bolesławowego, mówić o szkolnictwie ludowem polskiem: były i szkoły i nauczyciele i garnące się coraz tłumniej zastępy dzieci polskich. Ciągły rozwój ilościowy szkół przyniósł za sobą najjaśniejsze świadectwo w jakościowem ich niedomaganiu: stwierdzono brak nauczycieli Polaków, rzeczywiście po polsku i dla polskich dzieci szkołę prowadzić zdolnych. Ciągnęło się to przez lata całe, aż się dociągnęło do roku pańskiego 1904-go. Szkolnictwo młodociane, wątłe i potrzebujące opieki, cierpiało. Rana nieopatrzona odrazu, zaogniła się i zapaliła: przyszło do tego, że nawet złych nauczycieli, uczących według kanonu niemieckiego, nie po polsku, ale po „wasserpolacku" (wasserpolakisch) — dostać nie było można. Szkoły stare upadały, nowe powstawać nie mogły.

Ta troska obywatelska, która w narodzie całym pomimo małej wartości społecznej tak zwanej z„inteligencyi", czuwała ongi nad Macierzą Cieszyńską, wydała z siebie znakomity czyn gimnazyum cieszyńskiego i szkół bialskich, — taż sama troska wcześnie dostrzegła, grożące szkolnictwu śląskiemu, niebezpieczeństwo i za pomocą inicyatywy prywatnej, zachęcającej do ofiar pieniężnych, starała się je odwrócić. Gdy rząd małego kraiku przez długi czas zostawał w rękach namiestników, oddanych absolutnie Niemcom, gdy ci Niemcy trzęśli sejmem tak, że posłów polskich było w nim zaledwie dwóch, gdy coraz gorętsze umizgi p. Koerbera do Niemców chmurzyły nadzieję przyparcia rządu centralnego do muru w sprawie seminaryum nauczycielskiego, polskiego: postanowiono je własnemi środkami materyalnymi i umysłowymi wytworzyć, aby kiedyś ponad miarę obowiązków obywatelskich w państwie konstytucyjnem obowiązek zaopatrywania go w szkoły oddać do dalszego ponoszenia temu, kto od początku do niego był powołanym — państwu czy rządowi.

Taka była i taka do dziś dnia jeszcze jest ta wola praktyczna, która sobie za cel wytknęła ochranianie i rozwijanie polskości na Śląsku austryackim. Pomysł podobny skuteczność swą wykazał dostatecznie na seminaryum nauczycielskiem. Nie ten pomysł jednak wejść ma teraz w życie. Zamiast instytucyi prywatnej ma powstać na Śląsku rządowa pod postacią klas równoległych w istniejących już seminaryach niemieckich w Opawie i w Cieszynie. Dla Niemców, którzy polskość uważali już za unurzaną w nicości wasserpolactwa, te klasy są czemś okropnem, czemś „dotychczas w Austryi niesłychanem". Więc, w pierwszej połowie tego miesiąca do Opawy zwołany, odrazu wybuchnął jak wulkan. Takiej niegodziwości, jakiej się dopominają Polacy, rząd popełnić nie może, nie popełni, zwłaszcza rząd p. Koerbera, który przecież przyrzekł Słowianom ani jednego źdźbła nie dać bez woli Niemców. I w te pędy wybrali delegacyą, złożoną z pięciu mężów, i czemprędzej pchnęli ich do Wiednia po „Rechtsstandpunkt" — i sprawiedliwość. Oni przecież tylko prawem i sprawiedliwością żyją — w Berlinie, w Wiedniu, czy nad Opawą.

P. Koerber przyjął deputacyę d. 22 b. m. i potwierdził pogłoskę o zamierzonem utworzeniu klas równoległych zarówno czeskich, jak polskich. Napróżno im przekładał, że jest to konieczność nieodwrócona, że ta forma zaspokojenia jej, jaką on obrał, najmniej dla niemiectwa, polipie swe ramiona rozciągającego na Polaków i Czechów, niebezpieczną nie będzie, że mają w programacie tych klas wszelkie rękojmie, że wreszcie seminarya same, a więc i klasy, pozostają i nadal w nietkniętych i nietykalnych rękach niemieckich. Wyszli z wielkim gniewem, z uczuciem popełnionej przez ministra zdrady interesów niemieckich. Na 18 sierpnia mają zwołać wielki wiec do Opawy i narobić krzyku, wstrząsającego radę państwa, gabinet cały, samego nawet cesarza. Głupcy! Nie widzą, że p. Koerber jest nietylko ich przyjacielem, ale sługą, że te paralelki z programatem miłym dla Niemców, z urządzeniem, o którem już po użyciu deputatów doniesiono, przeskoków całorocznych w przyjmowaniu do klas — będą tylko nikczemnymi surogatami kursów pedagogicznych, jakich Śląsk rzetelnych potrzebuje. Nie Niemców, ale Polaków wodzi p. Koerber, a Polacy, którzy w kunszcie bierności ćwiczą się już całe stulecia, wskutek inicyatywy Koerbera, dającej im próchno zamiast zdrowego ziarna, zarobią to tylko, że wyrzekną się swojej własnej, zdatnej na posiew przyszłości.

Zwycięztwo hakaty.

Ostateczne uchwalenie prawa o osadnictwie nie wywołało w szeregach hakaty zapału, wśród Polaków niema też przygnębienia. O ile samo prawo o osadnictwie było niespodzianką, o tyle każdy trzeźwy polityk liczył się już od lat kilka z prawami wyjątkowymi, skierowanymi przeciw ludności polskiej w Poznańskiem. Buta, z jaką przedstawiciele rządu występowali w sprawach polskich w sejmie pruskim, spotęgowane prześladowanie sądowe i policyjne, systematyczne bojkotowanie polskich kupców i rzemieślników w Poznanskiem — były zapowiedzią, że system bezprawia postara się w tym lub owym kierunku o sankcyę litery prawa. W r. 1900 ukazało się też słynne rozporządzenie ministra oświaty Studta, rugujące resztki nauki polskiej (religii) ze szkół ludowych. Nastąpiły prześladowania uczącej się młodzieży. Rok później — Września...

Na ławie oskarżonych zasiedli nie księża poznańscy, nie ludzie ze sfer inteligencyi lub szlachty, lecz prości wyrobnicy i rzemieślnicy z małego miasteczka poznańskiego. W tymże czasie hakata podniosła butnie głowę. W artykułach, broszurkach i rezolucyach wiecowych domagano się coraz wyraźniej zaostrzenia polityki rządowej, podając zupełnie konkretne wnioski. A ostrze ich wszystkich nie było skierowane przeciwko szlachcie lub inteligencyi polskiej, lecz bardzo wyraźnie przeciw szerokim sferom ludowym. Polityka rządowa poszła też tym śladem. Nie ulega coprawda najmniejszej wątpliwości, że germanizacyjna polityka bismarkowska dała się nietylko wyższym sferom, lecz *przedewszystkiem* ludowi we znaki. W każdym razie Bismarck wmawiał swym słuchaczom w decydujących chwilach, jak np. w styczniu r. 1886, że walczą z polską szlachtą i klerem — a nie z chłopem polskim, którego on uważa za wiernego patryotę pruskiego. Dzisiaj wręcz przeciwnie. Przedstawiciele rządu i większości sejmowej oświadczają, że niebezpiecznym jest radykalny, polski żywioł ludowy, którego przekonania nie odpowiadają przekonaniom i wynurzeniom konserwatywnych członków koła polskiego.

Gdyby Bismarck w r. 1893 był jeszcze kanclerzem rzeszy niemieckiej — nie powtórzyłby zapewne słów swych z roku 1886. Ustępstwa Caprivi'ego były tak drobne, tak mało znaczące, iż wspominać o nich nie warto. A jednak mógł on powiedzieć, że proboszcz wrzesieński, Stablewski, mianowany arcybiskupem gnieźnieńskiem — wygłosił „mowę, tak pruską i prusko-patryotyczną, jak tylko można żądać od mieszkańców prowincyi poznanskiej, mówiących po polsku.“ Era ugodowa Cegielskich i Kościelskich skończyła się fiaskiem, a już we wrześniu 1894 r. usłyszeliśmy bojową mowę toruńską Wilhelma II. Na jednym z ostatnich wieców poznańskich pewien mówca chłopski wypowiedział ciekawe zdanie: „Powiesiłem — rzekł portret Bismarcka na ścianie. Bismarck zrobił z nas Polaków.“ Słowa te zawierają wiele prawdy. Starzy chłopi w Poznańskiem opowiadają dziś, jak w dawniejszych latach chodzili w pruskich czapkach wojskowych, ulegając pruskim wpływom militarno-rządowym, przechowując wspomnienia z kilkoletniej służby wojskowej. Polityka bismarkowska wywarła silny wpływ na rozwój polityczny ludności polskiej w Wielkopolsce. Najwięcej w tym kierunku zdziałała polityka szkolna rządu, wreszcie ustawa kolonizacyjna. W tym czasie odbywała się bismarkowska walka „kulturalna“, skierowana przeciwko przywilejom kleru katolickiego. Ksiądz stał się opozycyonistą, partya księży, niemieckie centrum—stronnictwem opozycyjnem, Koło polskie ścisłym sojusznikiem centrum, a G. Śląsk przeszedł na długie lata pod władzę polityczną tegoż stronnictwa. Więcej niż kiedy, ksiądz polski stał się łącznikiem obrony polskości z obroną rzekomo zagrożonego katolicyzmu i uzyskał silny wpływ na ludność poznańską. Przez swą działalność polityczną i społeczną kler polski starał się o wciśnienie myśli polskiej w koryto klerykalne, co też w znacznej mierze udało mu się. Druga strona działalności kleru zasługuje również na baczną uwagę: stworzenie ścisłej łączności pomiędzy wsią i dworem — chłop i wyrobnik uwierzył w istnienie „solidarności narodowej.“ W ten sposób, długie lata wzrastająca, świadomość narodowa nie była połączona ze wzrostem świadomości obywatelskiej i społecznej. Głucho był po wsiach i miasteczka poznańskich. Zebrania ludowe i przedwyborcze nie miały najmniejszego znaczenia; wołano komitetowym, księżom, posłom „niech żyją,“ zgadzano się na wszystko, nie było opozycyi, nie było samodzielności, nie było życia. „Mamy jednego tylko wroga — rząd pruski, który nas germanizuje, jako Polaków, prześladuje naszą wiarę. „Łączmy się“ — oto zasada, szczepiona przez księży w tym czasie w szerokie masy ludowe. Na G. Śląsku zupełna cisza: księża władali umysłami; od czasu do czasu wysyłali petycye do rządu w celu przywrócenia wykładowego języka polskiego przy nauce religii w szkołach ludowych i na tem koniec. Polityka pruska przyczyniła się znacznie, jak już przedtem wspomnieliśmy, do uznania teoryi „solidarności narodowej“, która oczywiście przeniosła się bardzo prędko na pole ekonomiczne, przyczyniając się w sposób decydujący do rozwoju drobnomieszczaństwa, polskiego „trzeciego stanu.“ Ten rozwój wytworzył nowe stronnictwo— partyę ludową. W erze ugodowej występuje ona ostro przeciw ugodowcom. Walka ta, prowadzona pod hasłami narodowo-politycznemi, miała głęboki podkład społeczny. Stanowisko ugodowe Koła polskiego było bez zaprzeczenia spowodowane tożsamością interesów społecznych agrarnych sfer polskich z interesami sfer szlacheckich w państwie niemieckiem. Panujący system ceł agrarnych, podatków pośrednich i reakcyi społeczno-politycznej, szczególnej w dziedzinie uregulowania stosunków prawnych robotników rolnych, odpowiadał w zupełności interesom społecznym polskiej szlachetczyzny, reprezentowanej przez Koło polskie. Interesy ekonomiczne wzrastającego drobnego mieszczaństwa polskiego były wręcz przeciwne, przede dewszystkiem w sprawach, dotyczących ceł agrarnych i podatków pośrednich na artykuły spożywcze. Na gruncie takich przeciwieństw rozwinęły się i sprzeczności polityczne, co do stosunku do rządu, programu pozytywnego i określonej taktyki

---

Ernest Dalgas

NOC ŚLUBNA.

Na jednej z duńskich wysp mieszkał niegdyś zakrystyan, który także miał obowiązek chłopów oświecać, uczyć ich sadzić ziemniaki, słowem uczynić z nich szczęśliwych i zamożnych obywateli. Miał on córkę, której na imię było Agnieszka. Smukła była jak świeca, usta miała jak łuk Amora, lica jak róże, a oczy jak fiołki.

Po lewej stronie wyspy rozciągały się piaski i wydmy, po prawej zaś leżały zielone pagórki i doliny ze źródełkiem i gaikiem ostrokrzewów. Od północy wznosiło się rzędem siedm wrzosem okrytych górek, wyglądających jak kretowiska. Podanie mówi o olbrzymce, której przez dziurę wysypała się z fartucha ziemia i powstały owe górki. Krążyło tu jednak i inne podanie a mianowicie o Agnieszce i Trytonie, ale zakrystyan nazwał je nierozsądnym zabobonem. Jakżeż mogłyby tu żyć trytony w takich morzach i w takim klimacie?—mówił do córki. — Głupstwa te wymyślili w średniowiecznych mrokach nieświadomi ludzie o niezdrowej, nieczystej wyobraźni.

W letnie wieczory, gdy ukończyła robotę w domu, biegła Agnieszka na wybrzeże, rozbierała się i wypływała na morze. Umiała ona pływać z oczyma otwartemi pod wodą i lubiła patrzeć na piasek, z którego prąd wodny wyrywał brunatne trawy morskie.

Pewnego wieczora przybiegła, jak zwykle. Słońce stało na zachodzie a długi szereg rozżarzonych obłoków unosił się w głębi. Agnieszka płynęła niezmordowanie w kierunku owego zamku obłocznego — tymczasem jego mocne barwy przybladły, zerwał się silny wiatr i owiał ją chłód dziwny. Obejrzała się za siebie, na wybrzeże. Tam już była noc. Poczęła szybko płynąć z powrotem, ale mgła biegła chyżej. Podniosła się z morza, otoczyła ją z przodu i z boków, zasłaniając wybrzeże. Wtem posłyszała za sobą ruch wody, jak gdyby ktoś za nią płynął. Odwróciła głowę, lecz z poza mgły nic nie dojrzała. Wołała głośno, pruła fale ramionami, padała to znów czuła grunt pod nogami i brodziła. Zdało się, jakoby fala ciągnęła ją napowrót. Nogi ślizgały się po kamieniach. Dygotała z zimna i ze strachu, gdy wróciła do domu.

W nocy miała dziwny sen. Płynęła w stronę powietrznego zamku. W tem pałac zapadł się w morze, jak co wieczora, a ona płynęła za nim aż pod wodę z oczyma otwartemi. Płynęła po przez iskry i płomienie, lecz żar nie parzył jej, był zimny, jak samo morze. W głębi znajdowało się państwo króla morza — owinęła się swoimi długimi włosami i weszła tam, mijając nagich trytonów i syreny. Najpierw wstąpiła do złotego pałacu, gdzie złote słońce błyszczało na zielonych łąkach morza, potem dostała się do zielonego zamku o wysokich drzewach, brunatnych niby skóra, a wreszcie najgłębiej wznosił się niebieski pałac. Znajdowały się tu jak krew czerwone korale niby drzewa, wyrastające z piaszczystego gruntu, a po nich pięły się delikatne rośliny morskie. Ryby, żyjące w głębinach morskich, o barwach perłowej macicy i dziwnie długich pletwach, pływały tam, a ona, która sadziła dotąd, że ryby są nieme, słyszała ich śpiew, brzmiący jak niskie tony harfy. U góry zawisło morze, jak ciemno-niebieskie sklepienie, a w samym środku świeciło słońce, niby szkło blado-niebieskie. Podeszła do pana morza, lecz on zajęty był innemi sprawami i ani spojrzał na nią, bo właśnie maczał pióro w kałamarzu i znaczył skórę węgorza. Natomiast syn królewski zbliżył się do niej. Zbroja na nim była z łusek z perłowej macicy, a oczy miał podobne do błękitnego słońca. Otoczył ją delikatnie ramionami i czuła, jak pierś jej dotknęła się jego łusek.

Odtąd bała się już wypływać zbyt daleko po zachodzie słońca. Pewnego razu wyprawiła się znowu do kąpieli. Morze było wzburzone i dojrzała na niem coś czarnego, zbliżającego się do brzegu. Był to człowiek... dawał jeszcze znaki życia, lecz był omdlały. Przyciągnęła go na suche miejsce, zważyła w ręku, a przekona

politycznej. Na rozwój samodzielnej myśli politycznej wpłynęły w ostatnich kilku latach i inne czynniki, a mianowicie: niebywały wzrost lewicy skrajnej, imponujący rozwój centralnych związków zawodowych, przekształcenie się stronictwa centrum na partyę rządową, a przedewszystkiem znaczny wzrost wpływów hakatystycznych na rząd pruski i niemiecki. Ciągłe prześladowania rządowe zradykalizowały znaczną część ludności polskiej pod berłem pruskiem. Jednocześnie uwydatniają się coraz silniej dążenia do polepszenia bytu i usamodzielnienia klas pracujących. Politycy ludowi, chcąc zapobiedz przejściu najenergiczniejszych i najżywotniejszych warstw narodu w szeregi lewicy skrajnej, uprawiają politykę socyalną, kopiując przykłady znane. Za rozwojem centralnych związków zawodowych przyszło założenie polskiego Związku zawodowego w Poznaniu. Wzgląd na masy proletaryatu polskiego na G. Śląsku zmusił polityków ludowych do silnego akcentowania żądań treści ekonomiczno-społecznej.

Wszystko to era przejściowa. Nie inaczej rzecz się ma ze stosunkiem postępowych sfer ludowych do polityki kleru, do wpływu jego na naszą politykę. I tutaj Górny Śląsk stał się czynnikiem postępowym. Na Górnym Śląsku kapitał przemysłowy i rolny znajduje się wyłącznie w rękach niemieckich, w znaczniejszej zaś części w rękach magnatów feudalnych, którzy są zarazem właścicielami kopalń i hut, oraz bogatych towarzystw akcyjnych. Tutaj antikulturalna polityka germanizacyjna odpowiada interesom kapitału, którego przedstawiciele starają się usilnie o utrzymanie setek tysięcy ludności robotniczej na najniższym szczeblu oświaty, w czem polityka szkolna rządu pruskiego szczerze im pomaga. Tu więc kler po ukończeniu walki „kulturalnej" nie wahał się ani chwili, jakie stanowisko powinien zająć w sprawach narodowościowych. Stosując się do życzeń potężnego kapitalizmu górno-śląskiego, który w znacznej części jest w rękach katolickich, stał się germanizacyjnym, hakatystycznym. Fakt ten wpłynął i po dziś dzień wpływa usamodzielniająco na politykę polską. Ludność polska wyswobadza się coraz energiczniej z pod rządów swych dotychczasowych klerykalno - konserwatywnych przewodników. Rozwój radykalnej myśli ludowej zmusza kierowników ruchu „ludowego" do liczenia się z czynnikami, panującymi w postępowych sferach ludowych, a mianowicie: z zaznaczeniem opozycyjnego stanowiska wobec rządu; zerwaniem łańcucha klerykalnego, który nas i dziś jeszcze dusi; wysunięciem kwestyi ekonomiczno-społecznych na pierwszy plan. W tym kierunku radykalna część ludności popycha swych posłów z partyi ludowej. Zadanie ich nie jest łatwem, ponieważ solidarność Koła zmusza do brania w rachubę opinii konserwatywno-klerykalnej części stronnictwa. I niejednokrotnie okazało się, że w sprawach, w których sprzeczność interesów poszczególnych klas ludności polskiej uwydatnia się najwyraźniej, jak np. w sprawach agrarnych, Koło polskie nie dopisało i nie ziściło nadziei, które optymiści pokładali w niem po kampanii wyborczej w r. 1903 na „nowe" Koło z „demokratyczną większością" „ostrego tonu." Bądź co bądź, a po uchwaleniu noweli osadniczej warto zaznaczyć, że wszelkie szykany i prześladowania ostatnich lat 30 nie zdołały wpłynąć na ludność polską pod berłem pruskiem w myśl inicyatorów i kierowników polityki hakatystycznej. Prawo o Komisyi kolonizacyjnej z r. 1886 było wymierzone przedewszystkiem w szlachtę polską, prawo o osadnictwie z r. b. wyraźnie przeciw chłopom i robotnikom polskim. Hakatyzm bankrutuje i chwyta się gwałtownych środków. Łamiąc konstytucyę państwa pruskiego i zasadnicze ustawy rzeszy niemieckiej, znosząc najelementarniejsze zasady sprawiedliwości, wywołał oburzenie nawet w sferach niemieckich, które dotychczas sprawami polskiemi bardzo mało się zajmowały. Zradykalizowanie opinii polskiej, wywołanie szczerego oburzenia wśród wszystkich uczciwych Niemców — oto największy tryumf hakaty i większości pruskiej izby sejmowej.

Rs.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przewidywanie, że Japończycy gen. Oku nie uderzą na Niuczuang, dopóki mają nad sobą Taszy-tsao, potwierdziła rzeczywistość; przez ubiegły tydzień sprawozdawczy nie było żadnych działań od ściany południowej; pod d. 24 b. m. wszakże wysłano już depeszę o posuwaniu się nieznacznych sił japońskich ku Niuczuangowi, a właściwie Inkou. W zapewnieniu, że Taszy-tsao jest silnie obwarowane, widać zarazem i trudności działania zaczepnego Japończyków na ten punkt i odporną postawę dowództwa rosyjskiego. W planie marszałka Ojamy tkwić wszakże musi takie nagromadzenie i ustawienie sił, któreby to ważne stanowisko opanować mu pozwoliło; wtedy też samą siłą rzeczy upadłby i Niu-czuang. Jest to jedyny dziś większy cel, jaki sobie wytknąć mogło dowództwo Japońskie. Osiągnięcie go dziś jeszcze znajduje się w okresie przygotowań, prowadzonych i osłanianych drobnymi ruchami, o których dowiedzieć się będzie można z drobiazgowych i drobnostkowych buletynów gen. Kuropatkina, pod tym względem ciekawość powszechną zupełnie zadawalającego.

Działania już rzeczywiste, pomiędzy większemi masami z ważniejszymi wynikami strategicznymi, w ubiegłym tygodniu dokonywały się w stronie wschodniej widowni wojennej. Oryginalnym, pierwszym w tej wojnie wypadkiem tego rodzaju na lądzie była rozprawa przed słynnym wąwozem Motien, na wielkim trakcie mandaryńskim do Liao-jangu z Feng-huang-czengu. W niej poraz pierwszy stroną nacierającą byli Rosyanie. Zaniedbane obsadzenie lub nieroztropne opuszczenie tego przesmyku gen. Kuropatkin chciał naprawić odzyskaniem tak łatwej zdobyczy japońskiej. D. 17 b. m. gen. Keller natarł dwiema dywizyami, wszakże bez powodzenia. Japończykom ubyło przeszło tysiąc ludzi z szeregów. Walka była zacięta i krwawa.

Na północ i zachód od wąwozu Motien były w d. 18 i 19 dwie rozprawy: pod Kiao-tung i pod Sihojan. Wobu Japończycy nacierali od gór ku zachodowi, po obu posunęli się ku Liao-jangowi. W pierwszej utracili 300 w za-

---

wszy się, że podoła, zaniosła do domu ojca. Rozebrała ga, ułożyła do łóżka i pielęgnowała.

Przykry był widok tej ofiary gniewu Neptuna i Jowisza—mówił później zakrystyan do jego wielebności — ale doświadczenie i pielęgnacya przywróciły młodzieńcowi siły. Jednakże albo ma mózg porażony lub jest jakiś zamorski, bo mówi językiem, którego żaden rozsądny człowiek nie umie. Myślę, że pochodzi z Lallandu, Holandyi lub z południa. Jego wielebność próbował rozmówić się z nim po niemiecku lub po łacinie, ale naprożno. Wtedy cudzoziemiec wziął pióro, papier i jął coś rysować oraz malować grubo i cienko. Narysował okręt, płynący przeciw wiatrowi. Bałwany uderzały o pokład a wicher szarpał linami. Potem narysował rozbitka, płynącego z jednem wiosłem pod ramieniem i podał pióro zakrystyanowi, a ten, potrząsnąwszy głową, na migi dał mu do zrozumienia, że Agnieszce zawdzięcza ocalenie. Padł więc młodzian na kolana i ucałował jej dłonie, które ona cofnęła zarumieniona. Niebezpieczenstwo tkwiło w tem dla młodych, że nierozumieli swojego języka, musieli więc rozmawiać oczyma i rękami. Ale zakrystyan nic nie miał przeciw temu, bo cudzoziemiec co sobotę kładł złotą sztukę na stole.

Agnieszce wydawały się jego ręce miękie i delikatne, lecz nie mogła znieść jego oczu. Taka w nich była moc; jasne były i niebieskie, jak woda na głębinie. W nocy śniły jej się.

W ogóle żyła ciągle jak we śnie: od wschodu do zachodu słońca wszystkie jej myśli krążyły około cudzoziemca. W sercu jej zrodził się słodki niepokój — wiedziała ona, jakiem poeci darzą mianem ten niepokój.

Biedne dziecko rozmaite myśli snuło o cudzoziemcu. Pewnego razu znalazła widoczek, narysowany przez niego, który zapewne przedstawiał kraj, skąd pochodził a dziwny wydał jej się ów kraj i dziwni ludzie w nim. Były tam groty kamienne z sączącymi się strumykami, drzewa wysokie jak ostrokrzewy a pod niemi kobiety nagie i mężczyźni—jak w państwie króla morza. Mężczyzni mieli rogi na czole i nogi koźle. Zrozumiała, że to musi być jakiś kraj odległy.

Pewnego wieczora przybył Sören Braenbevin z oświadczynami — zakrystyan włożył im dłoń w dłoń, rozpłakał się ze wzruszenia i przemówił w ten sposób:

Teraz wypijemy zdrowie młodych! Ja, kochane dzieci, mam przed sobą tylko grób, ale was czeka rozkosz miłości, nie ogień namiętności, lecz miłość małżeńska czysta, bo oparta na cnocie i rozumie. Niechaj wam słodki będzie obowiązek spełnienia przykazania i dostarczenia krajowi dzielnych obywateli. Teraz zaś wymieńce pocałunek niewinności.

Poczem Sören, jego wielebność, który z nim przyszedł i pół wielebności, jak dowcipnisie nazywali zakrystyana zasiedli do libacyi. Agnieszka uciekła do swojego pokoju a stamtąd w pola. Dogonił ją jednak narzeczony, schwycił w pół i dał jej pocałunek niewinności.

Agnieszka biegła, jak spłoszony zając, i rzuciła się w morze, które leżało przed nią czarne i ciche z krótkiemi, jasnemi, fosforyzującymi blaskami. Była chłodna, jesienna noc a ją zdjęło pragnienie tej lodowatej kąpieli, aby zmyć wstrętny pocałunek. Lecz wskoczywszy, cofnęła się, przestraszona. Wewnątrz błyskało się i świeciło. Płomienie i iskry podskakiwały w górę, lecz jej nie parzyły. Ogień morski był zimny, jak morze samo. Popłynęła więc naprzód i widziała, jak płomień załamywał się o nią a nawet ciało jej fosforyzowało w ciemności nocnej. W dziwnem oszołomieniu wróciła na brzeg i zarzuciła na siebie suknie: morze znowu leżało przed nią czarne i ciche. W tem od zachodu zerwał się wicher. Pomarszczyła się powierzchnia w drobne fale, ciskające iskry—i zdało się jej, że ktoś po imieniu wzywają, więc odpowiedziała. Ktoś podszedł do niej, otoczył ją delikatnie ramieniem i włosami jej owinął sobie palce. Słyszała słowa jego. Cudzoziemska mowa brzmiała w jej uszach niby dźwięk klarnetu, dolatujący z dala i o dziwo! rozumiała jego słowa.

I ślubowała mu miłość.

Gdy zbudziła się, nazajutrz, w pamięci jej tkwiły jeszcze wypadki nocne: chodziła jak senna. Śniła, że pochodzi ze złotego pałacu w morzu a wyspa, na której znajdowała się obecnie wydała się jej obcą. Słowa zakrystyana brzmiały fałszywie,

bitych i rannionych; w drugiej, znacznie większej, — 72 zabitych (2 of.) i 452 rannionych (16 oficerów). Zabrali z pobojowiska 131 ciał i 300 karabinów. Wojsko rosyjskie cofnęło się na Anping. Przed bitwą składało się z 7 batalionów i 1 pułku kozaków.

Eskadra władywostocka znowu wypłynęła na morze, jeszcze ok. 15 lipca. Nie było nic o niej słychać, aż teraz usłyszano strzały około Jokohamy — portu stolicy Tokio. Depesza ma datę 23 b. m.; nie przynosi nic więcej prócz strzałów.

Z pod Portu Artura ani jednego doniesienia; zupełna tajemnica osłania i działania japońskie i dodatnie lub ujemne widoki losu, który zawisł nad warownią.

Wojna morska przeniosła się z m. Japońskiego i z morza Żółtego na Czerwone. Od d. 15 do 22 b. m. dwa statki floty ochotniczej czarnomorskiej, „Petersburg“ i „Smoleńsk“ schwyciły cztery statki handlowe dwa niemieckie „Prinz Heinrich“ i „Scandia“ i dwa angielskie „Malacca“ i „Ardowa“. Z niemieckich statków wypuszczono dotychczas „Scandię“; co do „Henryka“ hr. Lamsdorff odpowiedział, że rząd niema jeszcze raportu. Od czasu tej wiadomości nie było żadnej innej. Poważnie przedstawia się sekwestr położony na „Malacce“. Okręt ten przyprowadzono d. 20 b. m. do Suezu pod flagą i z załogą rosyjską, choć materyały wybuchowe wiezione na nim z Antwerpii miały na sobie znane godło własności państwowej, strzałę. Zabrzęczało ogromnie w prasie angielskiej, łagodny wiatr wieje w strefie rządowej. Anglia otrzymała już do przyjęcia propozycyę zwrotu „Malakki,“ ale pod warunkiem poddania rewizyi papierów w jednym z portów Morza Śródziemnego, prawdopodobnie w Algerze. Załatwienie sprawy w sposób żądany może doznać opóźnienia, a nawet zupełnego zawodu wskutek zaostrzenia się stosunków przez zabór „Ardowy“ i przez sam nawet gwałtowny sposób jej zatrzymania; mianowicie po trzech ślepych strzałach „Smoleńsk“ dał do statku angielskiego dwa już rzetelne i temi go zatrzymał. Statek ten, równie jak inne, przyprowadzono do Suezu. Obok niego stanął krążownik angielski „Venus.“ Anglia wysłała już na m. Czerwone pancernik, dwa krążowniki i kilka torpedowców. Na m. Śródziemnem uruchomia flotę. *Nowoje Wremia* jednakże ma słuszność, gdy lekceważy sobie animusz angielski.

Ze sprawy „Malakki“ i „Ardowy“ wywiązuje się inna, ważniejsza, zasadnicza: czy statki floty ochotniczej mogą mieć charakter wojennych, gdy Bosfor i Dardanele przepływać mogą i przepływają jedynie tylko jako handlowe? Anglia pragnęłaby te wątpliwości odrazu rozstrzygnąć; Rosya nie będzie się kwapiła. Wiadomość biura Reutera jakoby już w d. 23 b. m na wielkiej radzie w Petersburgu, z udziałem hr. Lamsdorffa — niepochwalającego porywczości kapitanów „Smoleńska“ i „Petersburga“ — miano się zgodzić na uznanie charakteru floty za niepewny wobec urządzeń międzynarodowych, wydaje się przedwczesną.

Węgrzy zgodzili się na podniesienie listy cywilnej cesarza i króla o 4 miliony koron.

W całej Europie, nawet we Francyi, polityka śpi. Takie upały!



Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Przeniesienie ciała do grobu odbywa się też w dzień szczęśliwy, wybrany przez wróżbitów. W wigilię, przed wieczorem ciało wraz z trumną zostaje umieszczone w kaplicy przodków, a u biednych wewnątrz domu, w kącie, przeznaczonym na ołtarz przodków. Płacz i dzikie krzyki towarzyszą wynoszeniu trumny na cmentarz. Obecni na klęczkach biją czołem o ziemię przed wschodem dwakroć i dwakroć po wschodzie słońca. Kobiety odchodzą, tragarze wynoszą trumnę i ustawiają ją na wielkich nosidłach. Trumnę przykrywają oponą czarnego, niebieskiego albo czerwonego koloru. Na trumnie kładą kapelusz nieboszczyka oraz chorągiew z napisem jego imienia i godności. Cały czas palą się świeczniki, wonności, tymianek spełniają ofiary z jedzenia i wódki. Obecni modlą się żarliwie i biją czołem. Nareszcie trumna rusza, niesiona przez gromadę (czasem do 30) tragarzy i poprzedzona tłumem, dźwigającym znaczki, latarnie, łopaty z napisami, gałązki sosnowe... Na czele orszaku idą ludzie, odziani w skóry zwierząt, z przerażającemi maskami na twarzach, mają oni straszyć po drodze złe duchy, dalej niosą skrzynię z rzeczami nieboszczyka... Z obu stron idą z pochodniami i wciąż palą papierki, wyobrażające monetę chińską. Za urzędnikami niosą konia z bambusu i papieru, który też zostaje spalony na grobie i z którego popiół sypie się do mogiły. W końcu orszaku, za trumną postępują pieszo w głębokiej żałobie synowie i bliżsi krewni, dalej jadą konno lub w lektykach dalsi krewni albo znajomi.

Po przybyciu na miejsce trumnę umieszczają na macie z południowej strony mogiły tak, aby nieboszczyk miał twarz zwróconą na północ. Zaczynają się zwykłe ofiary z wódki i jedzenia; przewodniczący pogrzebu rzuca się z wielkim płaczem na ziemię. Jęki i szlochania ustają z chwilą spuszczenia trumny do grobu i wznawiają dopiero po pokryciu jej chorągwią z napisem i po opuszczeniu przez przewodniczącego do grobu kawałka czarnego jedwabiu; poczem obecni klękają przed kamieniem mogilnym, przed którym rozstawiono uprzednio misy z jedzeniem, owocami i wódką. Rzecznicy żałobni myją ręce, palą tymianek i błagają kamień na kolanach, aby nieustanie ochraniał pochowanego tu nieboszczyka. Trumna zostaje zasypana mieszaniną wapna, miału węglowego, i białego, sproszkowanego kamienia. Zasypywaniu trumny towarzyszy nieustanne bicie w bęben i gongi. Nad mogiłą wznoszą zwykłe okrągły, dość wysoki kurchan. Po ukończeniu tego spełniają ofiarę z wódki, którą wylewają na pogórek i suszonej ryby, którą rozdają sługom i kopaczom.

---

gdyż pamiętała jeszcze piękną muzykę cudzoziemskiej mowy.

Ale dzień upłynął, jak każdy inny, cudzoziemiec patrzał na nią spokojnie i brał jej rękę w swoją, jak zwykle, lecz twarz jego nie miała uroczystej powagi poprzedniego wieczora i nie szukał z nią spotkania.

Nadeszły noce księżycowe i rozbitek pływał po morzu w łodzi zakrystyana, ilekroć tylko sprzyjała pogoda. Agnieszka wodziła za nim oczyma długo, chociaż już trudno było odróżnić go od ptaka. I wydał się jej fałszywym, jak owa piana na wodzie. Zwabił ją na pełne morze, a teraz dojrzeć nie może lądu. Oburzenie jej wzmagało się: dziwiła się, że świat nie zawali się nad człowiekiem tak fałszywym, że trawa rość może tam, gdzie on żyje!

W łóżku płakała potem gorzko ze zmartwienia i skruchy, że nie słuchała ostrzeżeń ojca. Stłumiła w sobie nierozsądne marzenia, unikała cudzoziemca i znosiła pocałunki Sörena, oswajając się z myślą, że będzie mu dobrą żoną. Blada, milcząca chodziła bez słów i myśli po domu.

Zrozumiała, że, jak to piszą w romansach, serce jej było złamane. Było to jednak coś innego, niż myślała; nie jakiś ogromny ból i cierpienie, lecz jak gdyby czarny grób. Nie odczuwała smutku, ani radości, nie mogła się śmiać, ani płakać, wszystko jej było jedno, rano czy wieczór, dzień czy też noc. Nad morze lękała się chodzić.

Szeptało ono coś i wołało, ssąc z niej wszystkie siły. Nocami, gdy się zbliżała burza, huczały bałwany. Wtedy szeptała bezradne słowa modlitwy i odwracała głowę do ściany, nie znajdując pociechy— a w piersi jej jakoby już serca nie było.

Nadeszły wichry jesienne. Szarpały dachem i śmiały się haa, haha! A ona cieszyła się z każdego upłynionego dnia, że już przeszedł i nie wróci.

A gdy minęła jesień i zasiano ozimine, odbył się jej uroczysty ślub z Sörenem. Potem z muzyką na czele ruszyli do domu zakrystyana, urządzać weselisko. Zakrystyan chciał mieć mowę o obowiązkach nowożeńców, ale był zupełnie pijany, podobnie jak reszta mężczyzn i kobiet. Nikt nie mógł się utrzymać na nogach. Szarpali się za włosy, rozstawiali nogi, bełkotali i chwiali się niby w takt klarnetu, zapłaconego, aby im grał do tańca. Jego wielebność uśmiechał się i rzucał tłuste dowcipy w stronę narzeczonej, która blada, z suchemi oczyma stała wśród tych pijaków, jak gdyby należąc do innego świata.

Pod wieczór weszła do swojej izdebki i zdjęła aksamitny gorset ze srebrnemi sprzączkami. Wyjrzała oknem. Księżyc świecił a morze leżało niby obłok srebrzysty za wydmą. Ogarnęło ją gorące pragnienie ujrzenia go po raz ostatni, zanim przeniesie się do zielonej zagrody męża. Wyskoczyła oknem i pobiegła. A gdy stanęła nad morzem, wydało się jej ono tak piękne, jak nigdy dotąd. Usiadła na wydmie i patrzyła, patrzyła, zapominając o świecie. Nie odczuwała ani smutku, ani radości—jej dusza przecież zamarła.

Ale gdy tak siedziała zapatrzona, twarz jej zwilżyły łzy, które spływały powoli jedna za drugą. Dziwiła się, dlaczego płacze—wreszcie pojęła, że to płacze jej umarła dusza.

Wtem z za wydmy posłyszała kroki — ktoś pochylił się nad nią i złożył pocałunek na jej ustach. Wtedy rzuciła mu się w ramiona i płakała, jak gdyby serce jej pękać miało. On prosił ją, by wstała, lecz ona nie mogła się podnieść z bólu. Więc wziął ją na ręce i poniósł nad brzeg, jak niegdyś ona jego. Zaniósł ją na łódź, a ta popłynęła w stronę srebrzystego blasku, który na wodę rzucał księżyc. On, siedząc, wiosłował, a ona leżała u nóg jego z głową wspartą na jego kolanach.

Wtem posłyszeli za sobą pijane krzyki i hałas. Goniła ich cała gromada weselnych biesiadników, którzy wyglądali, jak karzełki lub gnomy, posyłające za nimi krzyki i groźby. Wtedy on cisnął na brzeg trzos pełen złota. Kilka sztuk wysypało się i zabłysło w świetle księżycowem— rzucili się więc klnąc i popychając, aby każdy mógł nabrać jak najwięcej.

A oni płynęli za blaskiem księżycowym, a woda za nimi mieniła się niby łuska ryby. I zaszedł księżyc, ciemność rozlała się przed nim, jak mur czarny, ustępujący im tylko krok za krokiem... ale oni płynęli prosto na niego. Blady blask zajaśniał na widnokręgu, a oni wciąż płynęli...

Z duńskiego przeł. *J. Klemensiewiczowa.*

Orszak pogrzebowy wraca do domu, niosąc z powrotem skrzynię z odzieżą nieboszczyka, która pozostaje w domu cały czas żałoby i przed którą odbywają się często modły i ofiary. Powracających krewnych i gości spotyka z płaczem na progu domu przewodniczący pogrzebu. Obecni modlą się i spalają dużo papieru, następnie wchodzą 2 albo 3 szamanki (mu dan) z muzyką i w przebraniu zaczynają udawać nieboszczyka, opowiadając w pierwszej osobie rozmaite, znane szczegóły z jego życia. *) Gości podejmują prostymi pokarmami.

Dwie dusze nieboszczyka zostały już więc należycie umieszczone: jedna odeszła do nieznanego świata, druga zamieszkała w mogile pod opieką ducha cmentarnego. Dla trzeciej duszy przygotowano w tym czasie podłużną, na stopę długą deseczkę, 4 palce szeroką i na palec głęboką z kasztanowego drzewa (u biednych z grubej tektury), ściętego w takiem miejscu, gdzie nie dolata „szczekanie psa i pianie koguta.“ Malują ją na czarno lub biało i wypisują hieroglifami imię nieboszczyka. Z boku deseczka ma dziurki, przez które dusza może wejść do jej środka. Towarzyszy ona ciału do grobu, poczem wraca do domu i zostaje umieszczona w ołtarzu przodków. Przed nią w odpowiednie uroczystości stawiają ofiary z kwiatów, jedzenia, owoców i wódki. Cześć oddają jej tylko do czwartego pokolenia, poczem tabliczka zostaje zakopaną w grobie właściciela. Zaduszki odbywają się na zajutrz po pogrzebie, następnie co 10 dni oraz na nowiu i pełni księżyca w ciągu dwóch, trzech lat po śmierci rodziców. W trzy miesiące od zgonu uroczyste zaduszki za wszystkich krewnych. Polegają one na wspólnej modlitwie, odwiedzaniu mogiły i ofiarach.

Cały ten przewlekły, nużący, kosztowny i kłopotliwy obrzadek, żywcem do najdrobniejszych szczegółów został zapożyczony z Chin, lecz widać, że doskonale odpowiada uczuciom i poglądom korejskich szamanistów, gdyż spełniany jest z niemniejszą, niż w ojczyźnie swej skrupulatnością. Korejczycy święcie wierzą, że dusza zmarłego zupełnie podobna jest do nieboszczyka, podziela jego słabostki i upodobania: je, pije, gniewa się lub cieszy, jeździ konno, używa oręża i odzieży, zdolna jest słyszeć oraz współczuć skargom, smutkom i radościom pozostałych przy życiu... Wiara w ludzkie potrzeby i namiętności tej duszy sięga tak daleko, że dawniej, grzebiąc królów korejskich, zakopywano wraz z nimi żywcem dwie niewolnice, które z czasem dopiero zastąpiono kobiecemi figurami kamiennemi.

Dusze zmarłych kupią się koło żywych, tworząc jakby odłam rodziny i rodu, wymagający większej nawet pieczy i uwagi, niż żywi, gdyż mogą szkodzić, a zabezpieczone są od zemsty. Stąd płynie pilne obchodzenie wszelkiego rodzaju zaduszek, troskliwa opieka nad rodzinnymi grobami, które bądź co bądź zajmują dużo miejsc urodzajnych w upośledzonej w orną ziemię Korei. Stąd pochodzi ciągły niepokój Korejczyka, aby ktoś nie skrzywdził jego nieboszczyków, gdyż obowiązek zemsty leży na nim pod grozą wielkich nieszczęść. Naruszenie granic cmentarnych, pochowanie obcego człowieka w pobliżu rodzicielskiej lub krewniaczej mogiły wywołuje zacięte i krwawe walki, w których udział biorą nieraz całe rody i które tworzą 50% spraw rozstrzyganych przez sądy. *) Wszelkie niepowodzenie, przygoda, nieszczęście tłomaczą się obrazą lub niezadowoleniem umarłych, których tłumy całe (tök-ha-bi), krążą wciąż po ziemi, zazdrośnie śledząc żyjących. Największą odpowiedzialność ma się wobec rodziców, gdyż ciężar gniewu dalszych krewnych rozdziela się na większą ilość członków. Bezdzietny lub tknięty jaką klęską Korejczyk przedewszystkiem sięga do źródła swych cierpień i często z wielkiemi kosztami przedsiebierze pielgrzymki do odległych grobów, bogate spala przed nimi ofiary, albo nawet przedsiebierze przeniesienie zwłok do miejsc szczęśliwszych i dogodniejszych. W tym celu przedewszystkiem wykopuje się ciało; skoro ono poczerniało w trumnie lub zmieniło położenie, to znaczy, iż stała mu się jakaś krzywda, grożąca wielkiemi nieszczęściami, a nawet zgubą całemu rodowi. Zwracają się o prawdę do wróżbity i zwykle przenoszą ciało w inne wskazane przezeń miejsce, powtarzając w przybliżeniu obrzęd pogrzebowy.

Długa i uciążliwa żałoba jest dalszym wyrazem solidarności krewniaczej. Każda krzywda rodowa, a tembardziej śmierć członka rodu musi być pomszczona lub okupiona. Zanim to nastąpi najbliżsi krewni, niegdyś zapewne cały ród, uważani są za występnych i obyczaj nakłada na nich kary, pobudzające do spełnienia obowiązku. *) Dotychczas w Korei człowiek w żałobie i zbrodniarz noszą to samo miano, oznaczone tym samym hieroglifem.

— Nie mogę panu powiedzieć, kto to — zbrodniaż, czy człowiek w żałobie. Obaj jednakowo się piszą i jednakowo wyglądają.... — mówił mi tłomacz, gdym mu dał do odczytania podpis korejski na fotografii. Istotnie widziałem, że więźniowie korejscy noszą odzież zgrzebną, żałobną i wielkie pokutnicze kapelusze, zasłaniające twarz, chowają się również za wachlarze lub zasłonę i nie wolno im tak, jak pogrążonym w żałobie, rozmawiać. Ludzie, którzy utracili rodziców, zachowują się na ogół tak, jak zachowywali się dawniej w Japonii zabójcy, kryjący się przed zemstą rodową. W czasie trzechletniej żałoby, po ojcu i matce, z których dwa lata należy do głębokiej, a rok do pół żałoby, dzieciom nie wolno zajmować się żadną pracą, chodzić gdziekolwiek lub przyjmować gości, zdradzać jakiekolwiek zajęcie światem zewnętrznym; nie wolno zabijać żywych stworzeń nawet szkodliwych, nawet pasorzytów gnieżdżących się w ich brudnej odzieży. **) Noszą zgrzebne łachmany i nie strzygą bród, niejedzą mięsa, ryby, czosnku.., Są uważani za umarłych dla świata. Żony na ten czas opuszczają mężów lub zamykają im swe łożnice, dziewice nie wychodzą za mąż.

Dzieci spłodzone w czasie żałoby podlegają ogólnej pogardzie, uważane są za nieprawe i mogą być sprzedane przez rodziców lub krewnych w niewolę. Pierwszego dnia po śmierci głowy rodziny wszyscy domownicy nic nie jedzą, dzieci poszczą surowo 3 dni.

Wszyscy krewni nieboszczyka podlegają żałobie, której trwanie i głębokość zależy od stopnia pokrewieństwa, ale pokrewieństwo rozważane jest jedynie w *męzkiej linii*. Mąż po żonie i żona po mężu zachowują również żałobę *trzy lata*. Obecnie bieda i osłabienie więzi rodowej zmusza lud prosty do zaniechania wielu ograniczeń żałobnych, na których spełnienie łożył przed tem cały ród: zamożniejsi ponoszą bez szemrania ciężkie, majątkowe straty, a urzędnicy, porzucają służbę — Czy napięcie uczuć rodzinnych odpowi w ich wyrazowi, sądzić trudno; pozornie w życiu potocznem nie różnią się one zupełnie od uczuć europejskich. Utwierdziło mię to w przekonaniu, że pogrzeb jest wyrazem dawnych uczuć rodowych. Wysoko rozwinięte, chińskie pojęcia krewniacze, które znalazły swój wyraz w żałobie i czci przodków, podziałały, jak drożdże na zabobonne i niewyćwiczone umysły korejskich szamanistów i rodowców, spowiły je mocno i na długo.

XIV. Ród. Małżeństwo. Położenie kobiety.

O rodach korejskich wiadomo bardzo mało, tyle tylko, że istnieją, że zwą się „ilcëgi“, *) że wywodzą się w linii męzkiej. Każdy ród ma imię rodowe „siön,“ wszyscy, noszący wspólne imie rodowe, uważani są za krewnych i nie żenią się między sobą. Wsi korejskie są zamieszkane zwykle wyłącznie przez współrodowców, z wyjątkiem innorodek żon. Znanych jest 50 imion rodowych; trzecia ich część chińskiego pochodzenia, reszta prawdopobnie mandżurskiego, gdyż składają się z jednej sylaby, zaledwie kilka jest trzy, cztero, nawet pięcio sylabowych, a te z tej racyi oraz z okoliczności, iż spotykają się wyłącznie na południu półwyspu, Hulbert zalicza do malajskich. Oto kilka rodów, które zasłynęły w ciągu ostatniego wieku: I (Li, Ni), do którego należy obecnie panująca dynastya: Kim, Pak, CCho,Ań, Cżion, Min, Juń, Dzo, So... Niektóre rody są bardzo liczne. Ród Min, który wysunął się naprzód w ostatnich czasach, dzięki pochodzącej zeń nieboszczce królowej, zamordowanej w r. 1895, trząsł całym krajem i nawet po jej śmierci zatrzymał w swym ręku do 1,000 urzędów. Ród Kim rządził państwem przy trzech królach poprzedniej dynastyi. Walki zamożnych rodów często pogrążały Koreę w głęboki zamęt. Członkowie rodów bez względu na swe położenie (do jednego rodu bowiem mogą należeć, i chłopi, i mieszczanie, i szlachta), popierają się zawsze. Zwyczaj każe bronić współrodowca bez względu na to, czy ma on racyę, czy nie i zabrania skarżyć go do sądu; sprawiedliwość wymierzają sobie sami współrodowcy, na mocy wyroku naczelnika rodu. Członkowie rodu nawet majątkowo odpowiadają za siebie, z czego korzysta rząd i z bogatych pobiera zaległe na biedakach podatki, chociażby ci wcale się nieznali i mieszkali nawet w innej okolicy. Prywatne należności mogą być otrzymane też w podobny sposób. Za to nie ma prawie możności odebrania pożyczki, nawet rzeczy ukradzionej od współrodowca. Naczelnicy rodów, zwykle należący do warstw wyższych, prowadzą tablice genealogiczne (cok-po) swych rodów, gdzie ściśle wypisane jest pochodzenie, zasługi, miejsce urodzenia pierwszego przodka, należenie jego do pewnej warstwy ludowej, zajęcie, jego najbliższe potomstwo i dalsze rozgałęzienie rodu.. Istnieją rody bardzo starożytne; z rodu Oan (co znaczy „król“) pochodzili panujący starożytnego domu Korio. Ród Kim (złoto) wyprowadza swe pochodzenie od „złotego jaja“ znalezionego nad brzegiem rzeczki przez królewską parę, panującą niegdyś w jednem z południowych panstw półwyspu.

---

*) J. B. Biskop: „Korea and Her Neiglebors,“ str. 290.

*) „The Korean Repository,“ 1898 r., str. 233. Naruszenie granic cmentarnych pochodzi stąd, że mało już zostało dogodnych na grobowce miejsc na południowych stokach gór; często powodem tego są też wróżbici.

*) Miało to miejsce i u innych ludów: Arabowie nie strzygli włosów i brody, inne ludy nie umywały się, nie jadły mięsa, nie łączyły z kobietami, dopóki nie dopełniły krwawej zemsty.

**) M. A. Pogio: „Korea,“ tłomaczenie niemieckie Ursyna-Pruszyńskiego, 1895 r., str. 155 158

*) Krewni — cchia-hao, ching-handa; rodzice — oponi, pumu, ojciec — abać (abunim, pucchi-mi, cacabi, ttaje-cchini); matka -- amać [illegible] moc-chini, moni-mi), rodzic — nan-to; początek — kynyn, ottymi (poczynać — piroso [illegible] byj, abyj, ayj; syn — atyri, casigi; córka — nasigi- [illegible]

Kobieta, wychodząc za mąż, nie przestaje mimo to należeć do swego rodu, ale pokrewieństwo w żeńskiej linii znika już w drugim stopniu i zwalnia zupełnie od żałoby. Wyżej stawiane jest nawet swojactwo, które uznaje małżeństwa w czwartym zaledwie stopniu i mleczne braterstwo, pozwalające na nie w trzecim. Po matce mlecznej (mamce) prawo obowiązuje do noszenia *dwu-letniej* żałoby.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z Cesarstwa.

(Wojna, przednówek i bezrobocie. — Bezrobocie m. Mińska i gubernii Mińskiej. — Nowe instytucye do spraw gospodarki ziemskiej w białoruskich guberniach — Sesya Witebskiego komitetu do spraw gosp. ziemsk. — Sprawa fakultetu medycznego dla kobiet w Moskwie).

Jednym z fatalnych skutków, toczącej się na Dalekim Wschodzie, wojny, jest zmniejszenie produkcyi w wielu gałęziach przemysłu i, co za tem idzie, bezrobocie. Klęska ta, która najpierwej i najżywiej wskutek zbiegu stagnacyi przemysłowej z zeszłoroczną powodzią i nieurodzajem, dotknęła gubernie Królestwa, daje się czuć obecnie w rozmaitych okolicach Cesarstwa. Jakkolwiek dzienniki prowincyalne zapełniają swe szpalty wyłącznie prawie wiadomościami z teatru wojny i zdaniami *Times*'a lub *Berliner Tageblatt*'a o planach i uzdolnieniach dowódców japonskich, widocznie jednak kwestya bezrobocia w niektórych miejscowościach jest tak „aktualną“, że chcąc-niechcąc muszą od czasu do czasu zwracać na nią uwagę czytelnika. Na bezrobocie w rozmaitych miejscowościach składa się wiele różnych czynników: wprawdzie, najbardziej decydującym jest wszędzie wojna i spowodowane przez nią zmniejszenie produkcyi, w pewnych jednak okolicach (np. niektóre powiaty. gub. Chersońskiej, Taurydzkiej i Jekaterynosławskiej) bezrobocie wywołał nieurodzaj, który zawiódł nietylko miejscową ludność rolniczą, lecz i robotników z gubernij północnych i środkowych, którzy utartym już szlakiem szli na południe na sezonowe roboty rolne; w innych znowu miejscowościach, jak naprz. w niektórych powiatach lub raczej wsiach i okolicach gubernij białoruskich, jedną z przyczyn, wytwarzających bezrobocie, było niewątpliwie wstrzymanie na czas wojny emigracyi włościańskiej do Syberyi. Że ono na Białej Rusi nasuwa poważne obawy — świadczą wiadomości o usiłowaniach zwalczenia klęski, podjęte w Mińsku. Miejscowy gubernator zwrócił się do zarządu miejskiego z odezwą, w której wykazuje, jaki ujemny wpływ wywiera pognębienie rynku pieniężnego i kredytu na budownictwo miejskie i na ciężkie położenie miejscowych robotników budowlanych — cieśli, murarzy, blacharzy i t. d. „Niewątpliwe zmniejszenie robót — pisze p. gubernator — nawet brak popytu na ręce robocze i spadek cen na nie przy ustawicznie wzrastającej drożyznie artykułów najniezbędniejszych—są to objawy, na które administracya oraz samorząd miejski, powinny zwrócić najpilniejszą uwagę“. W dalszym ciągu p. gubernator wyraża przypuszczenie, że byłoby pożądanem, aby rozpoczęte zostały niezwłocznie wszelkie roboty odroczone, a w każdym razie te, które stosownie do uchwały rady miejskiej mają być prowadzone w bieżącym sezonie. Rada miejska postanowiła przedsięwziąć odpowiednie kroki. Miescowy dziennik *Siewiero Zapadnyj Kraj* stwierdza, że bezrobocie w Mińsku daje się odczuwać coraz silniej, a jako dowód przytacza wiadomości o zamachach samobójczych, spowodowanych brakiem pracy i zarobku.

Klęska ta wymaga energicznych zabiegów i pracy nietylko ze strony samorządu miejskiego w Mińsku, lecz i instytucyi gospodarki ziemskiej w gubernii. W gazetach znajdujemy wzmiankę, że z powodu wielkiego braku pracy w Mińsku i powiatach wydział gubernialny do spraw gospodarki ziemskiej postanowił zwołać na 5 lipca st. st. nadzwyczajną sesyę komitetu gubernialnego do spraw gosp. ziemskiego, w celu omówienia bardziej pilnych spraw budowlanych i robót drogowych jeszcze w roku bieżącym“. Kwestya bezrobocia będzie poważną próbą żywotności i rzeczywistej sprawności nowych instytucyj, kierujących gospodarką miejscową. W podobnych wypadkach klęsk żywiołowych (nieurodzaje, głód, epidemie i t. p.), samorząd miejski gubernij rosyjskich i małoruskich — szczególnie w formie jego pierwotnej—zawsze względnie tanio i z powodzeniem organizował szeroką i skuteczną pomoc: czynnikiem podstawowym tej organizacyi była bliska, bezpośrednia znajomość warunków miejscowych, niedostępna dla organów władzy administracyjnej. Czy nowe — w gruncie rzeczy administracyjne — instytucye gospodarcze gubernij białoruskich (wprowadzone obecnie i do gubernij kraju południowo-zachodniego) zdołają równie skutecznie, jak ziemstwo, sprostać zadaniu—niedaleka pokaże przyszłość.

Wojna na Dalekim Wschodzie dała inteligencyi rosyjskiej bodziec do żywszego zajęcia się sprawą nader doniosłą, z wojną właściwie nic albo mało mającą wspólnego. Mam na myśli projekt utworzenia przy moskiewskich wyższych kursach kobiecych fakultetu medycznego,—projekt, który powstał nie od dziś, lecz obecnie zdaje się mieć większe widoki urzeczywistnienia. W wielu miastach wypadki wojenne powołały do życia kursa czasowe dla sióstr miłosierdzia. W Moskwie powstały one z inicyatywy prywatnej i były prowadzone początkowo wyłącznie przez profesora chirurgii miejscowego uniwersytetu p. Lewszina. „Jednakże po kilku już wykładach wykazały się dwie strony tej sprawy: zupełna niemożebność dla osoby pojedyńczej udzielania wszystkich niezbędnych wiadomości i wskazówek oraz niepodobieństwo znalezienia lokalu prywatnego, któryby mógł pomieścić wszystkie, zgłaszające się słuchaczki. Powstała wówczas myśl przeniesienia wykładów do gmachów i klinik uniwersyteckich. Profesor uniwersytetu Ogniew wniósł odpowiednie podanie do uniwersytetu moskiewskiego fakultetu medycznego i po otrzymaniu przychylnej odpowiedzi, kurator okręgu naukowego drogą telegraficzną uzyskał zezwolenie ministeryum na organizacyę czasowych kursów dla kobiet przy uniwersytecie. Wybrano komisyę profesorską pod przewodnictwem prof. Djakonowa dla kierowania kursami. Ośmiu lektorów miało wykłady skróconych kursów anatomii, histologii, fizyologii i hygieny, i dopiero po tem przygotowaniu 34 profesorów i prywat-docentów w wykładach i praktycznych zajęciach uzupełniali podane wiadomości ze strony tak praktycznej, jak teoretycznej. Lektorzy wykonywali swe zadanie bardzo sumiennie i pracowicie; to samo da się powiedzieć o słuchaczkach. W przepełnionych po brzegi audytoryach zbierało się 800—1000 kobiet, profesorowie, pomimo zaduchu i gorąca, nie opuścili ani jednego wykładu. Słuchaczki spędzały całe dni w klinikach, przechodząc z wykładu na wykład, z sali operacyjnej do ambulatoryjnej, i to, czego można było dopiąć w przeciągu sześciu tygodni, dopięto wspólnemi siłami“. W chwili pożegnania, gdy wykłady już zakończono, profesorowie wystąpili z mowami, w których podkreślali konieczność otworzenia kobietom drogi do wiedzy medycznej, a przedewszystkiem utworzenia w Moskwie medycznej szkoły kobiecej. Prezes komisyi organizacyjnej, prof. Djakonow, rozdając słuchaczkom świadectwa, nadmienił, ze otwierają one drogę do szpitalów wojennych i innych instytucyj lekarsko-sanitarnych; dla tych zaś słuchaczek, które przy wstąpieniu na kursa kierowały się tylko chęcią zdobycia wiedzy, świadectwo to będzie przypomnieniem uczynionej próby i serdecznego przyjęcia, jakiego doznały ze strony uniwersytetu moskiewskiego. Profesor zakończył mowę życzeniem, aby „to doświadczenie stało się pierwszym stopniem do prawidłowej i trwałej organizacyi medycznego wykształcenia kobiet w Moskwie“. Prof. Ogniew mówił o wrażeniach, jakie na lektorów wywarła pilność słuchaczek. „Kto przyswoił sobie myśl o konieczności wyższego wykształcenia dla kobiety, ten, patrząc na waszą pracę, mógł raz jeszcze przekonać się o waszych niekłamanych dążnościach do światła i wiedzy. Wrogo usposobieni do tych dążności zmuszeni zostali do milczenia. Pod tym względem zwycięstwo jest kompletne! Poznałyście, że życie i śmierć nierozerwalnie łączą się z sobą, ale jednocześnie mogłyście się przekonać, że choroba bywa często skutkiem ciemnoty, braku wiedzy i niepomyślnych warunków społecznych... Więc wiedza i pomyślne warunki społeczne—to są rzeczywiste środki zwalczania chorób“. Prof. Lewszin w krótkiem przemówieniu zaznaczył, że dla utworzenia stałego, wyższego, kobiecego zakładu medycznego, niezbędnem jest współczucie społeczeństwa, lecz nie platoniczne tylko, a czynne w postaci pomocy materyalnej. W przemówieniach słuchaczek przeważała również myśl o konieczności utrwalenia w tej lub innej formie pięknego dzieła. Dotąd jeszcze niewiadomo, jaki los spotka tę wyrosłą ze społeczeństwa inicyatywę, zdaje się jednak niewątpliwem, że już w bliższej przyszłości, Moskwa będzie miała fakultet medyczny dla kobiet. Organizatorowie kursów czasowych podczas bytności ministra oświaty, generała Głazowa w Moskwie konferowali z nim w sprawie utworzenia fakultetu przy istniejących w Moskwie już od lat kilku wyższych kursach kobiecych (kursa te mają dwa fakultety: fizyczno-matematyczny i historyczno-filologiczny) podobno znaleźli p. ministra przychylnie dla tej myśli usposobionego. Środków już trochę jest w rozmaitych legatach i u specyalnego Towarzystwa dla zbierania zasiłków na Moskiewski Instytut medycyny dla kobiet; reszta z pewnością się znajdzie, społeczeństwo da, jak tylko sprawa zostanie rostrzygnięta w zasadzie. Byłaby to więc druga w Rosyi szkoła dla kształcenia lekarek. O naglącej potrzebie powiększenia ilości podobnych szkół, rozwodzić się chyba nie warto. Wprawdzie byłoby taniej i lepiej, żeby zamiast tworzenia nowych szkół specyalnie dla kobiet, otworzono przed niemi podwoje istniejących już uniwersytetów, lecz ponieważ ta myśl ma jak dotąd bardzo mało widoków powodzenia, więc społeczeństwo skwapliwie korzystwa z pierwszej, przedstawiającej się możności urzeczywistnienia palącej potrzeby—w jakiejbądź formie.

A. Z—a.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Sacharyna.

Sacharyna obłożona została w państwie rosyjskiem zakazem swobodnego wyrobu i sprzedaży: jedyny też jej fabrykant w naszem kraju może wytworzyć tylko określoną ilość, z której zaledwie drobna część idzie na potrzeby miejscowe (lekarskie), reszta zaś musi być wywieziona za granicę. Wykryto jednak, że pod imieniem sacharyny za granicę wywoził on sodę, sacharynę zaś sprzedawał na miejscu — rozumie się—do rozmaitych zafałszowań.

Produkt ten — ostatecznie dla zdrowia szkodliwy—musi być wszędzie przedmiotem nadzoru, cóż dopiero mówić u nas, gdzie organizacya kontroli hygienicznej jest bardzo słaba a wykształcenie moralne ogółu bardzo nizkie. Zapewnić sacharynie wolność w przemyśle i handlu — znaczyłoby zatruć nią wszystkie artykuły spożywcze dla klasy uboższej, do których wchodzi cukier. A tej klasy szczególnie bronić trzeba przeciwko złej woli oszustów; nie może ona bowiem sama ominąć niebezpieczeństwa, gdyż przez szczupłość swych środków, skazana jest na poszukiwanie rzeczy najtańszych i najgorszych? Zresztą czyż biedacy wiedzą o jakiejś sacharynie lub jej szkodliwych własnościach. Oni wiedzą tylko o tem, że mają mało pieniędzy i, że mogą nabywać to, co jest niedrogie. Skoro zaś „potrzeby rynku" postanowiły, że lepiej cukrem polskim paść świnie angielskie, niż go po nizkiej cenie sprzedawać ludowi polskiemu, sacharyna stała się ponętną dla niego kusicielką. *d.*

Szczepanik zredukowany.

Mali i wielcy nieraz już pokrwawili sobie czoła cierniami wieńców, splatanych przez reporteryę. Wyniesieni przez nią na szczyty ludzkie, musieli z nich schodzić po stromych ścianach i spadać w przepaść; obdarzeni wszystkimi tytułami wielkości, musieli je zwracać na żądanie opinii, która dokonała ścisłego rachunku ich posług.

Losu tego doświadczył również p. Szczepanik. Nigdy Edison nie spoglądał na pełzające u jego nóg robaczki człowiecze z po za takiego obłoku kadzideł, jak ten, nagle genialnym zamianowany, twórca ulepszeń tkackich i wielu innych dokonanych lub mających się dokonać wynalazków. Ponieważ dziś interviewuje się nawet czarnego pudla z białą kitką na ogonie, więc nie liczymy ustawicznych „wywiadów" u Szczepanika za szczególne jego odznaczenie. Ale jakim ekstatycznym językiem o nim mówiono! Poprostu słuchając tych uniesień, myślałeś: „dziwnie odważnym jest zwyczajny człowiek, który ma chęć życia wobec takich ludzi".

A dziś! Towarzystwo akcyjne zorganizowane do wyzyskiwania wynalazków Szczepanika zbankrutowało z następstwami odpowiedzialności cywilnej i karnej, sam on zaś, odarty ze sławy, sprowadzony do rozmiarów niesumiennego blagiera i pyszałka, wysłuchuje kociej muzyki drwin prasy galicyjskiej, której echa odbiły się już i w warszawskiej. Gdzie prawda? Jak zawsze pod reporterską słomą. P. Szczepanik nie jest ani geniuszem, ani oszustem, lecz zdolnym i pomysłowym technikiem, któryby wynalazł niejedną rzecz dobrą, gdyby mu klakierzy dziennikarscy nie kazali „otwierać epoki" a spekulanci „dokonywać przewrotu w przemyśle". Jadąc na tych dwóch koniach, spadł i kark skręcił. *h.*

Nowy wódz w przyszłości.

Przed paru miesiącami zwracaliśmy już uwagę na manierę językową różnych dziennikarzy, łających wściekle wszelkich modernistów, a małpujących niezgrabnie ich wyrażenia i zwroty. Moda ta nie minęła i już nawet przestaje bawić, tak się często powtarza, darząc czytelników całymi artykułami. Coraz więcej mamy pseudo - impresyonistycznych, pseudo - estetycznych rozpraw treści banalnej, o bardzo przeciętnem patrzeniu na rzeczy. Czasem wśród tych roztkliwiań i rozczulań wydarzy się zabawny lapsus, zwracający uwagę zadziwiającym brakiem poczucia śmieszności i odpowiedzialności za to, co się pisze.

Oto naprz. w niedzielnym numerze *Kuryera Warszawskiego* w „utworze" zatytułowanym „Dzień w Krakowie" czytamy: „A gdy się siedzi w wielkiej sali Kopernika na wykładzie prof. Tarnowskiego, który swym melodyjnym głosem krzesze zapał do poezyi, i gdy się patrzy na młode twarze słuchaczów, kipiące ciekawością i gorączką, ma się wrażenie, że pójdą ci młodzi dalej szukać myśli śmielszych, prawd jaskrawszych, piękności bezwzględnej". Wiele frazesów napisano o p. Tarnowskim, lecz jeszcze nikt mu nie zarzucił, aby budził zapał do myśli śmielszych, prawd jaskrawszych.

Walka o telefony.

W prasie warszawskiej nagle zawrzało zapałem bojowym. I co dziwniejsza, poszło o kwestyę, mającą istotnie pewne znaczenie: Towarzystwo telefonów warszawskich, korzystając z monopolu, jaki mu państwo przyznało, nie zwraca uwagi na reklamacye abonentów. Ciekawa jest dyskusya pism naszych z zarządem tej instytucyi. Co do pierwszego punktu,—braków w urządzeniach, niema wielkiej różnicy zdania. Co do drugiego—zmian w personelu i sprowadzaniu obsługi cudzoziemskiej, odpowiedź zarządu jest bałamutna i nie można z niej nabrać pojęcia o stanie tej kwestyi. Natomiast niezwykle ciekawym jest ustęp owego listu otwartego, który wyjaśnia, że oddalono najdawniej obsługujące stacyę telefonistki dlatego, że obawiano się, czy one potrafią wypełniać instrukcye. Na ich miejsce przyjęto nowe (naturalnie gorzej płatne), które zdradziły przed zarządem cechy charakteru, zgodne z ową instrukcyą.

Po za tem jeszcze jedna kwestya — nieco uboczna. Czem tłomaczyć ów nagły ogień gazet warszawskich? Pogonią za sensacyą i tematem nie można wyjaśnić wszystkiego. Sądzę, że dużą rolę gra tu fakt, iż w tym wypadku stroną krzywdzoną są sfery bogatego, a przynajmniej zamożnego mieszczaństwa. Budząca się świadomość klasowa wpływa i na prasę. Nasze pisma codzienne coraz silniej stają na gruncie tych interesów. Doprawdy—o wiele więcej pisze się dzisiaj o telefonach, niż o bezrobociu, suszy i t. d. Tamto dla sfer, popierających kuryerki, kwestye—sentymentalne, uczuciowe, o których się duma przy czarnej kawie. To—kwestye niezbędne, godzące w kieszeń różnych finansistów, przedsiębiorców i t. d. Że to przypuszczenie nie jest dalekiem od prawdy, można stąd wnosić, iż owo oddalenie personelu służy tylko, jako środek ocukrzajacy. Gdyby u nas istniała odwaga wypowiadania swego zdania, to byśmy czytali: zmieniajcie personel, obniżajcie płacę, byle tylko telefony dobrze funkcyonowały i opłata za nie podlegała ciągłemu zmniejszaniu. *K*

Jeszcze o bezrobociu.

Wśród głosów, napływających z radami, jak zapobiedz wzmagającemu się kryzysowi, brak szerzej obejmujących kwestyę, brak poglądów, wychodzących poza interesy klasowe. Najliczniejsze są listy otwarte rolników, wskazujących rolę, jako miejsce pracy dla pozbawionych zarobku. Ilość tych głosów nasuwa pesymistom pewne podejrzenie i rodzi niedowierzanie. Jakto?—czyż rzeczywiście na wsi brak rąk roboczych? My, ludzie miejscy, mało lub wcale wsi nie znamy, nie wiemy dobrze, jak się stan rzeczy tam przedstawia. Przyjemnie nam słyszeć, że chłopi nasi są tak zamożni, iż mogą siedzieć w chałupach z założonemi rękami, że mają zasoby w stodole, komorze i stajni, że brak chleba nie zmusza ich do pracy po za swoją kolonią. Tylko, że niektórzy statystycy (widocznie niezbyt z kwestyą obeznani), podają wciąż wzrastającą cyfrę włościan bezrolnych, a korespondenci piszą o suszy, przednówku i innych bardziej malowniczych, niż wygodnych i przyjemnych położeniach. Wreszcie słyszymy też ciągle o emigracyi: nie chce się chłopom iść na łany pańskie, a zachciewa wędrować zagranicę, a nawet do Ameryki.

Więc niech dbający o ogół panowie wyjaśnią, czemu lud ucieka za zarobkiem tak daleko, gdy pracodawcy utyskują na brak robotników? Inaczej zyskuje podstawę posądzenie, że ich zbawienne rady płyną z egoizmu klasowego, dążącego do wyzyskania obecnego przesilenia, do zniżenia płacy robotnikom rolnym. *Z.*

BADANIA NAUKOWE.

Współczesna socyologia.

Leży przed nami znakomity niemiecki przekład artykułów Lester'a Ward'a, które pod wspólnym tytułem „Contemporary Sociology" ukazały się z początkiem bież. r. w *American Journal of Sociology*. Książka ta stanowi, niejako ciekawe, nader pożyteczne uzupełnienie „Rzutu oka na rozwój socyologii w XIX wieku" dr. Kazimierza Kelles-Krauza. Krauz daje historyę myśli socyologicznej, uwzględniając przedewszystkiem jej związek z ukształtowaniami społecznemi, które ją zrodziły i przeobraziły. Odkrywa przed nami życie głębin, charakteryzując często tylko słowem odbicie jego na powierzchni. Szuka nietylko sam wpływu czynników ekonomicznych na teorye społeczne, ale i w ocenianiu pracy drugich pyta najczęściej o stopień ich zrozumienia, tego najważniejszego, jak zaznacza, czynnika podstawowego, co jego pracy nadaje charakter poważnej jednolitości. Ale równocześnie stawia Krauz swym czytelnikom żądanie niełada: znajomości teoryj, które on z pewnego punktu widzenia grupuje, przygotowania, któreby im pozwoliło razem z autorem osądzać i ważyć.

A nie jest to rzeczą łatwą. Myśl socyologiczna, która długo płynęła jedną, wązką strugą, rozlała się szeroko, rozszczepiła na wiele prądów, którym pozostała tylko wspólność nazwy i podobieństwo celów. Z chwilą, gdy istnienie jej przestało być sporne, o treść powstały zażarte walki. Syntetyczny charakter socyologii powołuje wszystkie prawie dziedziny wiedzy do złożenia paru cegiełek pod budowę tego nowego gmachu myślowego. Dało to po-

*) L. F. Ward: „Soziologie von Heute" (Uebersetzung aus dem Englischen) Innsbruck 1904.

wód do złudzenia, że to, co ma być metodą, pomocą lub skromną cząstką wielkiej całości, całość tę o własnych siłach stworzyć potrafi. Drobnymi osadkami, najczęściej wrogimi, rozpoczęto robotę bez porozumienia się i planu, ale za to pod silną kontrolą wzajemną, której stałem zadaniem jest wykazanie bezowocności zabiegów drugiego. Składają się one na *współczesną socyologię.*

Podczas gdy Krauz, przedsięwziąwszy uwydatnienie zasadniczych prądów i idej przewodnich, uwzględnia tylko wpływ trzech nowych, w XIX w. powstających nauk (biologii, psychologii i paletnologii) na socyologię, gdyż te wpływy odpowiadają najwyraźniej pewnemu przełomowi w układzie i wzajemnym stosunku klas, walczących o formę ustroju społecznego — Ward daje właśnie obraz usiłowań zagarnięcia nowej wiedzy to pod te, to pod owe opiekuńcze skrzydła poszczególnych działów wiedzy, a z nim razem i wytłomaczenie panującej obecnie różnorodności w pojmowaniu naukowej zawartości socyologii.

W Ameryce jest ona prawie równoznaczną z — polityką społeczną, a nawet z filantropią! Opowiada o schroniskach dla biednych, instytucyach dobroczynnych, o bezpłatnych kuchniach, kąpielach itd. Składa się to na całość nie będącą systemem naukowym, lecz zbiorem poglądów szerokiej publiczności, czytających i piszących, na treść wiedzy społecznej. Jako pierwiastek naukowy podkreśla tu Ward wyłącznie próby podchwycenia (zwłaszcza w pracach A. G. Warnera) tych rysów zasadniczych natury ludzkiej, które dążą do moralnego i materyalnego podniesienia najbiedniejszych i najnieszczęśliwszych, a wraz z nimi i poziomu wartościowego całego społeczeństwa. Charakteryzując krótko *antropologiczne* pojmowanie socyologii, które bada społeczeństwo w składających się na nie jednostkach ludzkich, te zaś zazwyczaj w typach pierwotnych, dzięki metodzie przyrodniczej, każącej szukać za liniami rozwojowemi, daje Ward stanowczą odprawę t. zw. antropologii antropologicznej, która z cech somatologicznych wyciąga wnioski wartościowe o społeczeństwach i narodach.

Opanowany namiętnością tworzenia analogii, będącej jego zdaniem, jednym z najsilniejszych może bodźców do badań naukowych, a równocześnie przyczyną największych przypuszczalnie błędów, w historyi wiedzy upatruje Ward źródło socyologii *biologicznej.* Pojmuje ona społeczeństwo ludzkie, jako organizm, odpowiadający organizmom zwierzęcym i roślinnym. W długim szeregu, nader trafnie zebranych cytat, które się dopełniają i dają zupełny obraz „organizmu społecznego“ — mamy tu tkanki z osad i gmachów (de Greef), naskórek z panujących warstw (Spencer), czynności gospodarcze, jako proces odżywiania (Worms), towary wywożone, jako nieprzetrawiony pokarm (Lilienfeld), system sympatetyczny układów (Durkheim) — poznajemy sposób pracy najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku. Możemy teraz z łatwością ocenić doniosłość czynionych im przez Warda zarzutów. Argumenta swe czerpie Ward przeważnie z zakresu biologii, bijąc przeciwnika własną jego bronią, lecz obok siły leży tu zarazem i jego słabość. Historyczne znaczenie szkoły organistycznej, która w swej początkowej myśli przewodniej była uzasadnieniem klasowego panowania mieszczaństwa przez wskazanie klasom pracującym roli organów niższych, potrzebnych do funkcyonowania całości i korzystających z dobrobytu organów wyższych, jak to słusznie Krauz wykazuje — nie wychodzi na jaw w przedstawieniu Warda. Bez poznania pobudek psychologicznych, które świadomie lub nie kierowały tą szkołą, bardzo liczną i szeroko rozkrzewioną, trudno oczywiście zrozumieć ową uporczywość, niecofającą się nawet przed śmiesznością w zaciekłem wyszukiwaniu podobieństw.

W rozdziale „socyologia ekonomiczna“ próbuje Ward przeciągnąć linię graniczną między szkołami ekonomicznemi, które za punkt wyjścia biorą prywatno-zarobkowe przedsiębiorstwa, a społecznym sposobem oceniania, dla którego ogół konsumentów jest najważniejszym czynnikiem gospodarczym. Dla jednych zarobek jednostek, dla drugich pożyteczność rozstrzyga o powodzeniu zabiegów gospodarczych. Do drugiej grupy zalicza Ward przedewszystkiem szkołę austryacką, zupełnie zresztą na polu działalności społecznej bezpłodną i niepozostającą w żadnym związku z życiem rzeczywistem, co jej w pewnych kołach tem życzliwsze zapewnia przyjęcie. Najszerzej zresztą pojęta ekonomia, badając, zdaniem Warda, tylko zjawiska gospodarcze, może być dla socyologii znaczną pomocą, lecz nie da jej nigdy całej treści.

Słowami Tarde'a, Simmla i Steina określa Ward różnicę między socyologią a filozofią historyi, sprzeciwiając się sprowadzeniu dwu tych nauk do jednej — właściwemu pewnej grupie socyologów. Ma ona według Warda swe źródło z jednostronnem przecenianiu historycznego poglądu Comte'a na przechodzenie ludzkości przez trzy stany umysłowości, trzy sposoby myślenia (fetyszyzmu, metafizyki i pozytywizmu) z pominięciem reszty jego wywodów.

Obok utożsamienia socyologii z filozofią historyi często też spotkać się można z twierdzeniem, że socyologia jest pojęciem zbiorowem, obejmującem pewną grupę nauk, z których każda stanowi jej część składową. Zwolennicy tej szkoły zaprzeczają istnieniu związku organicznego między poszczególnemi naukami społecznemi oraz odrębnej swą treścią, różnej od nich socyologii. Dla Warda natomiast socyologia jest uogólnieniem faktów, dostarczanych przez inne nauki, nauką czysto abstrakcyjną, która w hierarchii nauk społecznych stanęła na najwyższym szczeblu. Nie godzi się więc na zdanie Comte'a i Spencera, którzy w naturalnym następstwie nauk stawiają etykę wyżej, niż socyologię. Idee etyczne są wypływem sympatyi lub altruizmu uczuć możebnych tylko, jako wynik współżycia, są zatem ideami społecznemi. Dlatego też i etyka jest nauką społeczną i jako taka podporządkowaną socyologii.

W „socyologii opisowej“ poznajemy doniosłe dla socyologa znaczenie etnografii i demografii, które prowadzi często do uważania socyologii za naukę opisową, czemu się Ward sprzeciwia twierdząc, że opisy służą tu tylko do poparcia indukcyi obrazem i rozumowaniem. Opisowość jest tu wyłącznie osadem, ponad którym płyną kryształowo czyste wody wiedzy abstrakcyjnej. Wobec często spotykanych w opisach błędów rozmyślnych, fałszów nieświadomych, małą przykłada Ward wagę do świadectwa podróżnych i wiarogodność ich mierzy nie istotną prawdziwością, którą sprawdzić trudno, lecz zgodnością z doświadczeniem społecznem i myśleniem rozsądnem. Poetycki utwór rzeczywistego artysty jest dla niego ważniejszym dokumentem społecznym od luźnego zbioru faktów, z życia opisanych. Poeta rozumie swe społeczeństwo, wie kędy światłem rzucić, by wykryć bijące w niem krwi fale. Czy ludzie, z którymi nas zapoznaje, istotnie żyli, czy nosili nadane im nazwiska — jest już sprawą mniejszej wagi. Rzeczy możebne mają dla badaczy społecznych nieraz większą wartość od prawdziwych, lecz przypadkowych, nietypowych.

Pojmowanie społeczeństwa, jako zrzeszenia, będącego wynikiem uczucia naturalnej wspólnoty lub też uznania, płynących ze współżycia, korzyści, stanowi również pewną, wyodrębniającą się całość. Czy człowiek jest stworzeniem społecznem, tj. partem instyktownie do życia gromadnego, czy był nim zawsze, czy ma świadomość gatunku, łączącą go miłością z jednymi, dzielącą zaś nienawiścią od reszty, czy rządzące jego zrzeszeniem prawa zapewniają korzyści nietylko jednostkom, ale i gatunkowi — oto najważniejsze pytania dla badaczy tej grupy.

Podział pracy (Dürkheim), naśladownictwo (Tarde), nieświadomy przymus (Carpentier) podniesione do znaczenia najważniejszego czynnika w współżyciu ludzkiem, stały się również punktem wyjścia dla poszczególnych systematów socyologicznych. A wszędzie widzimy to samo zjawisko: to co jest skutkiem lub objawem brane bywa za przyczynę pierwotną, czynione podwaliną nader misternie nieraz zbudowanego gmachu myślowego.

Przedstawienie krytyczne najważniejszych systemów, składających się na socyologię współczesną, kończy Ward rozdziałem o socyologii, jako walce ras, poświęconym przeważnie Ludwikowi Gumplowiczowi, „któremu należy się zasługa, zupełnego i bezwzględnego opracowania tego przedmiotu.“ Jak w historyi wszystkich idej, tak i tutaj, u innych pisarzy odkryć można mniej lub więcej jasne zaczątki teoryi Gumplowicza. Dla Heraklita walka jest matką wszystkiego, dla Hobbesa walka wszystkich przeciw wszystkim jednym z najważniejszych faktów społecznych, a Bagehot zdawał się już przeczuwać jej wyniki. Dla Warda jest „teorya walki ras“ — zajmowali się nią dotychczas głównie Roncali, Vanni i Vaccaro we Włoszech, Ratzenhofer w Austryi — pierwszą teoryą „naukową“ powstania i budowy państw, która rozmaite zjawiska społeczne, jak podbój, kastowość, nierówność, prawo, państwo, lud i naród ujmuje w jedność i jednolicie tłomaczy.

Mimo swej pozornej różnorodności, czerpania materyałów i metod z różnych dziedzin wiedzy, wszystkie omawiane przez Warda grupy noszą przecież jedną, wspólną cechę: zupełnego nieliczenia się z faktem społecznym pierwszorzędnej wagi, z *posiadaniem* i z opartym na niem podziałem społeczeństw. Historya nowożytna, wewnętrzna państw, starcia i walki, które pociągnęły za sobą przeistoczenie form politycznych oraz prawnych i cały ów ruch potężny, który zdaje się nosić przyszłość w swem łonie, są w danem przez Warda przeglądzie teoryi niezrozumiałe. Z chwilą gdy jedność pracy oraz interesów w łonie społeczeństw osiadłych zmienia różnice ugrupowania z rasowych na klasowe, kończy się pomoc, jaką nam daje nauka mieszczańska w zrozumieniu otaczającego nas świata. Niezdolność jej w łączeniu zjawisk społecznych z gospodarczymi, która według surowego sądu Achilesa Lorii, „czyni socyologię zbiornikiem najsprzeczniejszych faktów i areną, na której proletaryat myśli może swobodnie wyprawiać swe harce,“ jest tem karygodniejszą, że polityka strusia każe jej przemilczeć nazwiska socyologów tej miary, co np. Marks i Engels! Niema o nich u Warda ani wzmianki — a w tem szaleństwie jest metoda.

Wobec tego, choć trudno podzielać optymistyczne przypuszczenie Krauza, że „może niezbyt odległym jest czas, kiedy materyalizm ekonomiczny przestanie być szkołą, a stanie się atmosferą socyologii, jako nauki,“ przecież spodziewać się należy, że bodaj niemoc własna, wykazana wzajemną krytyką wśród własnych szeregów, nakaże „socyologii współczesnej“ objąć swym kręgiem i te myśli oraz poglądy, które dotychczas stały z małym wyjątkiem — przed bramami wszechnic, wśród mas, dążących do prawdy.

H. Ł.

LITERATURA I SZTUKA.

Juliusz Laforgue.

W dziejach kultury można napotkać pociągające dziwnym urokiem postaci wielkich samotników. Właściwie mówiąc, każda wybitna jednostka, każdy twórca pozostaje w osamotnieniu, na pustyni swojego ducha, wołającego ze szczytu, aby ku niemu spieszono. Lecz obecnie mam na myśli nieco innych samotników. I ci należą do wielkiej rodziny twórców, lecz nikogo nie wołają, a przesuwają się przez świat cicho, bez szelestu, niewidziani, niepostrzeżeni przez nikogo. Z dwu form przejawu życia, jednej uzewnętrzniającej się w nieustannym kalejdoskopie drobnych zdarzeń, wypadków, przemian, wypowiadających się w postaci wszystkich ludzi, i drugiej występującej w poważnym, dla przeciętnego ucha niewidocznym tętnie, wyrażającem się w krążeniu planet, podnoszeniu się i opadaniu poziomu morza, w ważnych podstawach wszechistnienia, — z dwu tych form wybrali oni drugą. W istnieniu innych nie biorą udziału. Zapatrzeni w najgłębsze, najogólniejsze tajniki bytu, przejęci są małością mrówek-ludzi, małością ich losu w stosunku do ogromu wszechświata. To nie oschłość lub niezdolność odczucia, lecz pogląd mędrca, który wie, że wszystko przemija, a to, co się na ziemi dzieje, jest tylko dźwiękiem tej odwiecznej przemiany.

Dlatego głos ich twórczy jest cichym szeptem, który nie przebija się przez turkot i gwar; posiadając jednak w sobie pierwiastek twórczy, nowe ujęcie świata, nowe dążenie do podchwycenia jego tajemnicy, nie milknie i uzewnętrzniwszy się, przechodzi w najtrwalszy pomnik syzyfowego trudu człowieka. Po upływie pewnego czasu, kiedy pierwiastki, w twórczości tej zawarte, stają się ogólnym dorobkiem intelektualnym, wtedy utwory te zdobywają posłuch i chciwie są czytane przez czujących głód artystyczny i tęskniących za nowem pięknem.

Do szeregu tych wielkich samotników ducha należy Juliusz Laforgue.

Żył on od 1860—1887. Utwory jego nabierają coraz więcej powagi w kołach literackich Francyi. W pewnej części przyczyniło się do tego wydanie prac „Mercure de France" p. t. „Mélanges posthumes", zawierającego w sobie różne fragmenty i listy, a między nimi utwór będący najbardziej skrystalizowanym—„Perrot fumiste".

* * *

J. Laforgue należy do postaci najbardziej odosobnionych w naszej dobie. Jego życie zewnętrzne płynęło dość spokojnie, choć niepogodnie. Śmierć w wieku, kiedy duch poczyna mówić o swojej potędze, uzupełniła obraz smętnego, bolesnego, bardzo „wesołego" ironisty".

Cała twórczośc jego mówi wiele o tem odosobnieniu. Samotnie dumał on nad głębią tajemnicy życia, nie odgadł jej i poznał, że „sens de l'Infini"—to szczyt niedostępny dla syna człowieczego i, że jest to najpierwsze, najważniejsze prawo istnienia.

Odosobnienie to jest ściśle związanem z naturą jego jaźni. Rządzi nią, mający nad wszystkiem przewagę, pierwiastek refleksyjny. Myśl zapanowała tu bezpodzielnie; uczucie, czyn wypowiadają się tylko przez nią, kształtując jej pracę. Nie jest Laforgue bynajmniej suchym, oschłym, niepodlegającym wzruszeniu i namiętności. Tylko wszędzie panuje myśl, łączenie odruchów, budzonych przez podraznienie z zewnątrz czy wewnątrz w jedną ciągłość, ściśle związaną z całością ujęcia świata. „Le grand chancelier de l'Analyse" pisze o sobie: „Je vague à jamais Innocent par les blancs parcs ésotériques de l'Armide Métaphysique".

„Laforgue wyróżnia się swą specyalną zdolnością do myślenia abstrakcyjnego. Studyuje filozofów, marzenia jego nawiedzane są bezustannie przez ich systemy"—mówi André Beaunier („la poésie nouvelle"). Wszystko u niego łączyło się w myśl, nie suche kombinacye i wyciąganie wniosków niemieckiego profesora, lecz, cichy, lekki, nieuchwytny bieg myśli, zrodzonych przez odrębną zdolność odnajdynia we wszystkiem pierwiastku abstrakcyjnego.

W myśli też znalazła swój oręż, swoją treść wrażliwa dusza poety. W najdrobniejszym pyłku widzi Laforgue świadectwo prawdy filozoficznej. Niezwykła przytem subtelność cechują umysł poety. Wrażenia nie działają w nim bezwiednie, uczuciowo, lecz odrazu przechodzą przez świadomość, pozbawione pierwiastku obrazowego, t. j. zrodzonego przez odczuwalność zmysłów, a ubrane w subtelną formę pojęć.

Skutkiem tego jest stała jedność w różności. W oceanie najróżnorodniejszych spostrzeżeń i abstrakcyi, podlegających bezustannemu falowaniu, bezustannej zmianie uchwycić się daje pewna ciągłość, pewne, ściśle przeprowadzenie jednolitego poglądu na świat.

Po za pierwiastkiem myślowym dusza poety abstrakcyi miała inne odrębne cechy, znamienne dla jego twórczości. Natura jego nie miała w sobie wewnętrznego chłodu. Listy jego (nie wyłącznie, bo można to samo powiedzieć i o innych dziełach) wykazują nam całą czułość tej skomplikowanej organizacyi psychicznej. Dusza bogata, ciekawa, łaknąca prawdy, obojętnieje w ustawicznem wglądaniu, czy nie dojrzy czegoś, coby mogło dać odgadnięcie, zrozumienie wielkiego mechanizmu, lecz nie zatraca wrażliwości. Uczucia odruchowe nie działają w nim bezpośrednio silnie, serce nie wali z oburzenia lub uniesienia zapału; lecz wszystko co myśli, wszelkie objawy jego pracy wewnętrznej zawierają w sobie silne, uwewnętrznione uczucia.

Na zewnątrz wyładowuje je Laforgue w postaci ironii. Lecz dziwnym jest ten uśmiech. Nie szydzi on, nie druzgocze, tylko cicho, powściągliwie wyjaśnia odwrotną stronę rzeczy.

Wszystko, co się wkoło nas dzieje, dla zwykłego oka wibruje nieskończoną swoją różnością, to wznosi się, to opada, to pędzi, to sączy kropla za kroplą; wszystko, zda się, jest samo w sobie, ma własny cel i własne przeznaczenie. Lecz ma też inną stronę. Gdyby można spojrzeć przez jakieś, do dzisiejszego dnia niewynalezione szkła, któreby nam ukazywały wielkie przedmioty sub specie aeternitatis, wtedy by zmalała ta powaga pojedyńczych poruszeń każdego człowieka, każdego nawet pokolenia, i „wszystko" stałoby się drobną cząstką nieznanego nam ruchu, powstającą i gasnącą w jednym momencie, bez większego znaczenia, bez żadnego śladu.

To rodzi ironię Laforgue'a. Widzi on, czego inni nie widzą. Nie poddaje się trwodze, ogarniającej jednostki przed nicością, a usiłuje przy pomocy jedynego środka—uśmiechu utrzymać się przeciw milionowo większej przewadze nieznanej potęgi. „Nebuleuse mère, maman nature" jedyne źródło wszechrzeczy i jego po krótkim momencie istnienia pochłonie w niepamięci, lecz w owej chwili wznieść się on może do ogromu—półuśmiechu. Uśmiech jego to poczucie małości jednostki wraz z poczuciem siły świadomości tej małej kruszyny; pełen on jest chwilowego tryumfu, kryjącego wewnętrzny ból i smutek.

Smutek — cierpienie istnienia, pomimo całego pozornego chłodu myśli Laforgue'a działa przejmująco przy czytaniu jego rzeczy. Uczucie to jest bardziej utajoną głębią jego ironii; wznosi się on do ukochania bólu i woła: O Notre Dame des Soirs, que Je vous aime sans espoir"—bez nadziei utrzymania się na powierzchni, z pełną świadomością przyszłej zagłady wpatrzył piewca nieświadomego pierwiastku swe oczy w wszechświat; choć widzi tylko noc i słyszy szum, to jednak owo wpatrzenie się daje mu rozkosz ekstazy. Ekstaza to najszczytniejszy stan ludzkiej duszy. Bo wszystko najlepiej się przedstawia na tym najlepszym z światów, tylko „panowie i panie, których siostra już umarła, śpieszcie otworzyć drzwi grabarzowi, który puka".

Odruchowość myśli i ból-ironia to największe cechy ducha poety myśli. Wiarę jego, wyraz spotęgowanych sił ducha, można streścić w jednem słowie: panteizm, lecz panteizm zupełnie odrębny, całkiem niepodobny do ogólnie znanego. Wszystko jest jednem, we wszystkiem jest jedno; lecz wszystko wypełnia—nieznane; wszystko — to wielka tajemnica. Bezsilność wobec odgadnięcia zagadki bytu—to jedyne prawo rządzące istnieniem ludzi. „Inconscient jest jedynym, działającym czynnikiem kosmosu, to „raison explicative, suffisante, unique de l'histoire universelle de la vie" (un carnet de notes). Istnieje coś, czego nie znamy, o czem nie wiemy, a raczej tylko wiemy, że istnieje. Stan ekstazy zbliża nas do tego pulsu życia, lecz bynajmniej nie daje poznać, czem jest ono. I to najstraszniejsze dla ducha—„si seulement je savais pourquoi". Ten pierwiastek—Inconscient, to jądro bytu jest jedynie wiernem, nieśmiertelnem. Wobec jego ogromu śmiech porywa na widok wszelkich usiłowań nadania głębszego znaczenia tak efemerycznemu w dziejach świata zjawisku, jakiem jest człowiek. Laforgue, zanim doszedł do poznania istotnej prawdy, sądził, „że gdy zgrzyt wyjdzie z kości moich, to ujrzę znak na licach gwiazd". Świadomość przyszła, i zrozumienie usunęło wszelkie bunty. Bo światem rządzi nieznane, wypowiadające się w wiecznej przemianie, w wiecznym ruchu. Wszystko, co podług naszej świadomości istnieje, jest tylko wypadkowym przejawem życia, przeznaczonym na rozpłynięcie się bez śladu w ogromie wszechświata.

Pogląd ten jest punktem oparcia całej jego estetyki, sztuka jest głosem „nieznanego"; ona oddaje jego chwilowe przebłyski, i wierna prawu wiecznej przemiany, stale szuka nowych dróg. „Il n'y a art, que le Nouveau". Wszelkie estetyki urzędowe, oparte na złudzeniu, co do piękna absolutnego, są tylko śmieszne i dziecinne. Impresyonizm dlatego w Laforgue'u znajduje gorącego wielbiciela i obrońcę, „że „oko impresyonisty w rozwoju ludzkim jest okiem najbardziej udoskonalonem, które najtrafniej po dzisiaj uchwyciło i oddało kombinacye najbardziej skomplikowanych odcieni". Dlatego wszelkie uogólnienia, wszelkie żądania stawiane artystom mają mało wartości. Artysta — twórca jest anarchistą, po za swoim punktem widzenia nic może on podlegać żadnym ograniczeniom, czy wymaganiom.

Z tego samego wątku wysnuta jest psychologia Laforgue'a.

Jako nieskończenie małe cząstki, będące tylko wypadkowym przejawem wielkiej tajemnicy, chwilowym etapem powszechnego ruchu, nie możemy rościć sobie pretensyi do stanowienia centrum świata. „Un Hamlet du moins; la race n'est pas perdue".

Natura ludzka to mała iskierka woli, mająca najwyższą rozkosz w ekstazie. Wiecznie niespokojny, wiecznie szukający, a mający świadomość, że nigdy nie znajdzie, człowiek jest w wszechświecie punktem, który wiele sobie roi i kpi z własnej niemocy.

Największą ekstazę znajdujemy w miłości. Naturalnie i ona jest wyłącznie momentem upojenia, chwilą wzlotu; w największym szale, w najgorętszym uścisku nie opuszcza dzisiejszego człowieka chęć krytycyzmu, mania analizy: „En tête à tête avec la femme ils ont toujours l'air d'être un tiers; kobieta zaś jest uzupełnieniem, „nature brute", z której on czyni arcydzieła. Szczególniej w pierwszych jego utworach mamy to lekceważenie natury kobiecej, jako żyjącej chwilą namiętności intensywnej, nieznającej głodu wiadomości tajemnicy świata. Później nastąpił zwrot. Przepiękna jest postać Andromedy. W fragmentach, wydanych po śmierci Laforgue'a znajdujemy śliczny ustęp.

„Prawimy: ludzkość—wszyscy są braćmi! Nie— kobieta nie jest naszym bratem; przez lenistwo i zepsucie uczyniliśmy z niej jakąś inną istotę, nieznaną nam, niemającą innego oręża nad płeć swoją, co nietylko rodzi nieustanną walkę, lecz i czyni ją mało zaszczytną. Uczyniliśmy z niej istotę uwielbiającą lub nienawidzącą, lecz nie towarzysza wolnego... Dziewczęta młode, kiedy staniecie się naszymi braćmi, braćmi serdecznymi, bez żadnej ukrytej myśli o wyzysku... kiedy szczerze podamy sobie dłoń?"...

* * *

Przejdźmy do zobrazowania twórczości Laforgue'a. Jest ona ścisłym wypływem jego umysłowości; pierwiastek myślowy, podkład filozoficzny odgrywa tu przeważającą rolę. Po za tem jest ona królewsko bogatą, jak królewsko bogatą jest dusza poety. Trafnem, pięknem jej ujęciem są słowa Maur. Maeterlink'a w wstępie do pracy C. Mauclair'a: „L. widział inaczej niż inni, a widzieć inaczej niż inni, to znaczy widzieć lepiej. I ponieważ je widział, zdołał i nam ukazać krajobrazy, uczucia znacznie różne od tych, które są dla nas zwykłymi. Lecz—podług mnie najjaśniej dostrzegł on w pięknie i w prawdzie nieoczekiwany jakiś uśmiech dziecięco-boski, który leży, przypuszczalnie, na dnie wielkich naszych czynów, a który nazwać można uśmiechem duszy"... Cała twórczość Laforgue'a ogniskuje się w tym uśmiechu duszy. Ogarniając przeszłość, przyszłość i teraźniejszość, odtrąca rozdymywane do jakiegoś znaczenia wypadki życia i pozostaje głosem mędrca - twórcy, czującego ruch i wiedzącego, że człowiek nic wiedzieć nie może.

Ta współczesność odgrywa w twórczości jego wielką rolę. Jest on może najnowszym, najwspółcześniejszym ze wszystkich poetów naszej doby. Wszelkie pozostałości przeszłości, wszelkie dawne sposoby artystyczne są mu obce. Nie zna on nawet, co to mowa obrazami, co znaczy rysować. Nie—on poddaje myśli pewne, ulotne wrażenia, pewne obudzone na moment pojęcia, zaczerpnięte z rzeczy zewnętrznych lub wewnętrznych stanów duszy. Cała twórczość jego to delikatna subtelna roślina, wyrosła z najwyższego napięcia myśli, będąca dziełem silnego mózgu i szerokiej „metafizycznej" wyobraźni. Cechują ją odruchowość, chwilowość. Pomimo tego jest ona ściśle konsekwentnym wyrazem ujęcia wszelkich zjawisk w jeden indywidualną pracą stworzony system filozoficzny...

Parę jeszcze słów o technice. Laforgue pisze urywkowo, małymi obłokami myśli. Wyrazy są u niego niesłychanie blizko związane z treścią. Parę, niby od niechcenia rzuconych, zdań rodzi nastrój pozornie wesoły, pozornie szybko znikający, lecz pozostawiający echo wielkiego bólu i wielkiego smutku.

Język jego, kapryśnie nieznoszący żadnego wędzidła rytmiki, wyrażający wszystko w prostych, często z gwary paryskiej zaczerpniętych słowach, ściśle odpowiada całej twórczości, jako narzędzie artystyczne w ręku mistrza. Wielkie poczucie miary czyni jego mowę harmonijną bez wszelkich sztucznych naleciałości, lekko opowiadającą uzewnętrzniające się słowo twórcze. Dzięki temu, utwory Laforgue'a są wielkiem dziełem poety—samotnika. Czy są wieczne? Wiecznością jest tylko „Inconscient—my możemy go czuć, lecz nie dane nam jest pojmować go. W tej nieśmiertelnej przemianie, utwory takiego ducha, jak Laforgue, jako najbardziej zbliżone do pulsowań nieśmiertelnego życia, są najtrwalszym pomnikiem tytanicznej walki syna człowieczego z pochłaniającym go mrokiem.

Zbigniew Brodzki.

Notatki literackie i artystyczne.

— W. Żmudzki: „Z pamiętnika psychopaty," Lwów, Księg. Polska — Wende.

— A. Neuwert-Nowaczyński: „Siedm dramatów," wyd. 2-ie, Lwów, Ks. Polska. Wende.

— Hugo Bertsch: „Rodzeństwo," przekł. z niem. M. M., Lwów, Pol. Tow. Nakł.

— Stefan Żeromski: „Promień," wydanie 3-cie. „Utwory powieściowe": Na pokładzie. O żołnierzu tułaczu. Tabu. Cienie. Kara. Legenda o bracie leśnym. Wyd. 3-e, Gebethner i Wolff.

— St. Przybyszewski: „De profundiss," Berlin, Fontane & Co.

— W. Nałkowski: „Dookoła Alp." Luźne notatki i refleksye z błyskawicznej podróży, z 35 rys. Odbitka z *Przyrody*. Ks. Naukowa

— W. Bölsche: „O pochodzeniu człowieka," przekł. dr. Z. Szymanowski. G. Centnerszwer.

— R. Muther: „Historya malarstwa," III Cinquecento, przekł. St. Wyrzykowskiego Nakł. J. Fiszera.

— St. Majewski: „Długoterminowy kredyt hipoteczny," amortyzacyjny. W świetle cyfr zebranych z 59 instytucyj Europy Zachodniej Ces. rosyjskiego i gub. Król. Pol. Wende.

— Fr. Fabisiński: „Kalendarz pogody," na każdy dzień, II półrocza 1904 r. 20 kop.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH. Wyd. Arcta.

— St. Bouffall: „Krótki rys fizyki". Nauka o cieple. 15 kop. Nauka o świetle — 15 kop.

— Karol Martin: „Wulkany," dr. Meunier: „Trzęsienie ziemi," streścił S. B. 15 kop.

— „Cyd," poemat hiszpański, opracował K. Król. 15 kop.

— M. Offmański: „Przyczynek do życiorysu Adama Asnyka". 15 kop.

— Wal. Osterloff: „Zarys historyi i literatury niemieckiej," cz. IV. Szkoła romantycz. Młode Niemcy 20 kop.

— Dr. M. Bernsztein: „Zwyrodnienie w świetle nauki współczesnej." 15 kop.

— J. Dohm: „Z dziejów ruchu kobiecego," streściła M. Glotzówna. 25 kop.

SPRAWY EKONOMICZNE.



KAPITAŁ I PRACA
w Stanach Zjednoczonych.

(Dokończenie).

Zachodzi teraz pytanie, czy każdy robotnik bywa przyjęty do syndykatu? W teoryi tak, bo w rzeczywistości wstęp do nich dosyć jest utrudniony. Wpisowe kosztuje sporo, czasami do 250 fr. Prócz tego niektóre syndykaty wymagają od wstępujących egzaminu, niekiedy dość ciężkiego i to zależnie od woli egzaminujących, a i na opłatę tego egzaminu wyłożyć trzeba znaczną sumkę — wszystko to razem nie ułatwia należenia do związku.

Jacyż to ludzie stworzyli te organizacye robotnicze? Kto je prowadzi do boju? Po za kierownikami urzędowymi duszą ich i ręką jest osobistość, znana wyłącznie Ameryce: t. zw. *boss*.

Nie szuka on dla siebie chwały, nie ubiega się za zaszczytami, lecz w rzeczywistości rządzi wszystkiem. Takim despotycznym, choć ukrytym władcą był R. Croker dla New-Yorku, takim jest Mc Carthy, dla San-Francisco, po za plecami biednego flecisty, mera Schmidta.

Głowa dobra, sumienie bez skrupułów, umie *boss* walczyć nie o zasady, lecz o pieniądze, umie wyczekiwać cierpliwie, zbierać w palcach nitkę za nitką, wybierać najodpowiedniejszą chwilę do czynu. Wszędzie i zawsze on jest panem położenia i nikt nie śmie zaprzeczyć mu tej władzy.

Takim jest *boss* w polityce amerykańskiej. W ruchu syndykalnym stał się też nieuniknionym, jako przywódca robotnicy. I rzecz szczególna, jest on prawie zawsze Irlandczykiem.

Irlandczyk, Mc Carthy rządzi syndykatami robotniczymi w San-Francisco, Irlandczyk, Sam Parks — w Nowym Yorku. Pod ich ręką, z organizacyi profesyjnych, przedzierzgnęły się one w związki o dążeniach politycznych; przedewszystkiem w San-Francisco opanowały zarząd miasta, a następnie sięgnęły swym wpływem do zgromadzenia prawodawczego Kalifornii, które agenci ich otaczają, tworząc t. zwane „lobby" i argumentami brzęczącymi torujące drogę prawom dogodnym dla partyi robotniczej.

Historya Sama Parksa z Nowego Yorku jest typowym wyrazem tak zwanej walki pracy i kapitału w Stanach Zjednoczonych.

Sam Parks, naturalnie Irlandczyk, stał na czele bezrobocia budowlanego, które trwało cztery miesiące i kosztowało Nowy-York setki milionów. Karyerę swoją rozpoczął on, jako prosty robotnik, poczem z lepszą już płacą przeszedł w usługi syndykatu kowali i robotników żelaza, jako „wędrujący delegat" czyli inspektor. Dzięki temu stanowisku zdobył sobie rozległe stosunki wśród robotników i został wkrótce przedstawicielem swego syndykatu w Radzie zgromadzenia syndykatów budowlanych, do której wchodziło trzydzieści ośm różnych przemysłów i rzemiosł. Sam Parks wytresował znakomicie swój zastęp 4,800 kowali. Gdy im powiedział: „dziś tu zaprzestaniecie pracować," zawieszali roboty nie żądając jednego słowa wyjaśnienia. On sam tylko wiedział, co i dlaczego? Postanowiwszy bezrobocie, szedł do kierownika fabryki i oświadczał mu grzecznie: „Obawiam się, żeście panowie zapomnieli o inspektorze syndykatu." Tę pamięć trzeba było opłacać tysiącami dolarów. Kilku dyrektorów wyrzuciło go za drzwi. Lecz potem zamiast jakichś pięciu tysięcy stracili wskutek bezrobocia dwakroć albo trzykroć. Sam Parks, jak widzimy, umiał postępować przekonywająco.

Dochody syndykatu wynosiły około 300,000 fr. rocznie. Sam korzystał z nich swobodnie. Kontrola nie była zbyt drobiazgowa. Część naturalnie oddawał strajkującym, ale i o sobie pamiętał. Trzymał powóz, nosił pierścienie dyamentowe, żył wesoło. Zresztą posługiwał się nie jedną wyłącznie metodą przekonywania ludzi; bardzo silny, nie wahał się w razie potrzeby argumentować pięścią.

Pomimo wpływowego stanowiska w Radzie syndykatów nie czuł się zadowolony

Boss'owie innych syndykatów postępowali tak samo, jak on. Sam Parks zorganizował ich w komitet tajny, który zawładnął całym przemysłem budowlanym. On sam stanął na czele komitetu i nakazał owo cztero miesięczne bezrobocie, które kosztowało New-York wiele milionów. Dziś karyera jego już skończona. Aresztowany po raz pierwszy za przekupstwo i szantaż, choć został uwolniony, nie odzyskał już dawnego wpływu. Ludzie, którym dał się we znaki, robotnicy, których wypędził z syndykatu rzucili się na niego, poszły skargi do sądu. Obecnie Parks siedzi w więzieniu i jest chory, gwiazda jego zagasła.

Jego dzieje, to historya niezwykłego złodzieja, przedstawiciela nowego żywiołu w życiu przemysłowem, nowoczesnem. Pobierając sześć tysięcy franków rocznej pensyi, jawnie wydawał pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy. Kradł, mając za swemi plecami 4000 ludzi, którzy w każdej chwili mogli zażądać od niego rachunku. Grabił pracodawców i jednocześnie robotników, których był przewodnikiem. I jedni i drudzy wiedzieli o tem dobrze. Jakże więc wytłomaczyć sobie tę uległość złodziejowi ludzi zupełnie uczciwych, jakich nie brakowało naturalnie w gromadzie 4000.

Popierwsze: za panowania Parksa wynagrodzenie z 12 fr. 50 cent. dziennie podskoczyło w 1903 r. do 22 fr. 50 c. Powtóre: Parks okradał wprawdzie robotników ale ich pracodawców grabił znacznie więcej, był przytem dobrym towarzyszem i po królewsku ugaszczał swych przyjaciół i stronników. W syndykacie kowali, tak jak i wszędzie zresztą, rządziła mniejszość, Parks nad nią przewodził. Sala, gdzie się zgromadzali nie mogła pomieścić 4000, wchodziło zaledwie sześćset osób, które decydowały za wszystkich. A ponieważ najtrzeźwiejsi, najuczciwsi robotnicy zwykle wolne chwile spędzają w domu, więc na zebraniach najczęściej gromadzili się tacy, co więcej lubią rozprawiać, niż pracować, co piją, intrygują i żądni są władzy. Z takich właśnie składało się stronnictwo Parksa. Jeśli nawet uczciwi przybyli spełnić swój obowiązek, to i na nich był sposób. Posiedzenie przewlekało się do późna w noc, dzięki sprytnie prowadzonej opozycyi. Robotnicy znużeni, chcieli iść spać, wówczas zawieszało się obrady. Zgromadzeni rozchodzali się, ale w pół godziny potem partya *bossa* powracała i wybór jego zatwierdzała jednomyślnie. On zaś nie zapominał o swych przeciwnikach i potrafił zgotować im życie trudne. To wielu, najuczciwszych nawet, odstręczało od walki.

A pracodawcy? Ci przedewszystkiem myślą o zrobieniu majątku. Z takim Samem Parksem wolą nie zadzierać i nie narażać się na rujnujące następstwa bezrobocia — muszą więc opłacać się.

W niedawno rozpoczętem dochodzeniu sądowem przeciw Parksowi przytoczono listę około dwudziestu firm, dobrze znanych w Nowym-Yorku, od których *boss* pobierał roczną pensyę.

Rzecz oczywista, że gdyby wszyscy przemysłowcy, budowniczowie i przedsiębiorcy chcieli się porozumieć między sobą, rządy takiego Parksa byłyby niemożliwe; im jednak nie na tem nic nie zależy, żeby moralność i uczciwość zapanowały w przemyśle, gdyż w mętnej wodzie łatwiej ryby łowić.

Jest jeszcze rzecz ciekawsza do zanotowania. Kiedy w Nowym-Yorku, w przemyśle budowlanym wybuchło wielkie bezrobocie, na którego czele stał Parks, były punkty, gdzie pracy nie zaprzestano. Roboty prowadzone przez Georges A. Fuller et Comp. szły zwykłym trybem, strajkujący nie przeszkadzali im. Skąd ta względność? Georges A. Fuller Comp. płaciła szczodrze, z robotnikami nie zadzierała i umiała zapewnić nietykalność swym interesom; wiedziała ona, że najlepszą do tego drogą jest dobre porozumienie z *bossami*. A co ważniejsza George A. Fuller et Comp. od wielu lat miała na żołdzie swoim Parksa i, jak wykazało następnie śledztwo sądowe w jego sprawie, ona wywołała bezrobocie za pośrednictwem tajnego związku *bossów*, a przedewszystkiem ich przewodniczącego Parksa. I ten człowiek, istna plaga uczciwych przedsiębiorców, którego imię wymawiano ze wstrętem, jako wcielenie przekupstwa i przedstawiciela despotyzmu robotniczego, który był tak potężnym i tak groźnym, że działał przed nim prawie cały Nowy-York, działał tylko jako agent jeszcze potężniejszych zwierzchników. George A. Fuller Comp. pochodziła z Chicago, dążyła do owładnięcia całym rynkiem budowlanym Nowego-Yorku. Zacząwszy z kapitałem stu milionów franków, dziś ma 366 milionów i należy do składu olbrzymiego trustu budowniczego w którego radzie zarządzającej zasiadają największe siły finansowe: Rockefeller, James, Stilman, Vanderbilt, Gates, Hyde, Julliard i Schwab.

W takich to rękach działał Parks, zręczny faktor potężnego kapitału, wojującego z niezależną pracą na wszystkich szczeblach jej rozwoju. Demoralizował, kradł, przekupywał, lecz natchnienie do tej czynności brał z góry, od potężnych ludzi, których był narzędziem, w których czuł poparcie.

Ostatnie objawy walki kapitału i pracy w Stanach Zjednoczonych wraz z rozwojem trustów wykazały jednocześnie straszne rozpowszechnienie przekupstwa, szantażu szachrajstwa tak wśród pracodawców, jak robotników. Przewaga *bossów* jest tylko jednym z przejawów tej zgnilizny, jaka ogarnęła świat przemysłowy, amerykański. Niektóre syndykaty robotnicze w poczuciu tego stanu rzeczy usiłują uwolnić się od *bossów*, zorganizować sobie reprezentacyę normalniejszą i zdrowszą dla całości interesów robotniczych. Niektóre syndykaty przyjęły *referendum* komitetów nadzorczych, podsyndykatów miejscowych, nałożyły na każdego robotnika obowiązek dania głosu i obecności na zebraniach. Ruch tak wszczęty może przynieść ważne i niezmiernie pomyślne przeistoczenia.

Z drugiej strony skupienie się kapitału w trustach każe obawiać się demoralizującego wpływu pieniądza. Niechby nawet powstał uczciwy trust — co jest niemożliwe — i przeciwstawiły się mu syndykaty robotników bez *bossów*, to z początku będą walczyć, potem przejdą w stan zbrojnej neutralności, a ostatecznie porozumieją się. Otóż porozumienie między temi dwoma potęgami może nastąpić tylko kosztem niezorganizowanego społeczeństwa.

Sw.

Z PRASY.

Petersburska gazeta żydowska *Frajnd* urządziła wywiad: Dlaczego rzemieślnicy żydowscy, którzy mają prawo zamieszkiwania w Cesarstwie po za „granicą osiedlenia", przeznaczoną dla Żydów, nie korzystają z tego prawa i rzadko kiedy przenoszą się do wewnętrznych gubernij rosyjskich?

Odpowiedzi, które otrzymała podaje w następującem streszczeniu *Gazeta Polska*.

Pierwszy odezwał się bezimienny mieszkaniec Petersburga, twierdząc, że bardzo trudno wystarać się o zezwolenie władzy na to przesiedlenie, mimo iż prawo zasadnicze nie sprzeciwia się temu. Policya nieraz wydala Żyda, gdy jakiś czas niema roboty, a co rok trzeba odnawiać pozwolenie. To też do senatu ciągle napływają prośby o wyjaśnienia, czy władza policyjna postępuje prawidłowo.

P. Lerner z Siedlec twierdzi, że podróżując 12 lat w głębi Rosyi, przekonał się, iż gdyby rzemieślnicy żydowscy osiedlali się liczniej w Cesarstwie, „byłoby to *szczęście* (podkreśla p. L.) dla nich i dla całego ogółu." Tam są potrzebni rzemieślnicy żydowscy, a tu ich jest zadużo. W mieście gubernialnem, Kałudze np. mającem 20,000 mieszkańców, mieszka tylko 1 tokarz i 2 introligatorów (nie-Żydów), w Siedlcach zaś (gdzie jest około 25,000 ludności) znajduje się 15 żydowskich tokarzy i 20 introligatorów — Żydów.

Zdaniem p. L. Żydzi wracają z dalszych gubernij, gdy im się na wstępie nie powodzi, a początki są zawsze trudne; to zaś odstrasza pozostałych. Natomiast kto wyjeżdża do Ameryki, nie wraca, choćby znosił tam biedę najstraszniejszą.

P. Kozakow z Kuzniecka w gub. saratowskiej motywuje niechęć do wyjazdu trzema przyczynami: 1) nie mogą dobrze zarabiać w Rosyi, bo są lichymi rzemieślnikami; 2) nie chcą tam przebywać, bo nie mogą kształcić synów w środowisku żydowskiem; 3) nie dają sobie rady z czeladnikami chrześciańskimi, a o żydowskich tam trudno.

Jako przykład przytacza właśnie miasto Kuznieck, mające 30,000 mieszkańców. Przed 30 laty była tam mała gmina żydowska. Przed 7 laty nie było tam ani jednego Żyda; wszyscy wyjechali dobrowolnie, aczkolwiek wolno im było tam mieszkać, jako rzemieślnikom.

Mieszkaniec Lipecka, w gub. Tambowskiej, opowiada przedewszystkiem dzieje prawa o rzemieślnikach żydowskich. Wskutek prośby właścicieli większych posiadłości ziemskich pozwolono 16 maja 1819 r. po raz pierwszy Żydom-gorzelnikom mieszkać w całem Cesarstwie, a dopiero d. 28 czerwca 1865 r. wyszło prawo, pozwalające na to wszystkim rzemieślnikom. W początkach Żydzi prawie wcale nie korzystali z tej ulgi, mając wszędzie chleb na miejscu. Gdy potem nastała bieda wśród Żydów, nie mieli już po co wyjeżdżać, bo przeważnie Rosyanie mieli już dostateczną liczbę rzemieślników własnych. Policya przytem zwraca pilną uwagę na tych Żydów, a stwierdziwszy, który sprzedaje towar nie własnego wyrobu, wysyła takiego rzemieślnika do „granicy osiedlenia." Dla Żydów byłoby dobre miejsce zarobku na Syberyi, ale tu nie dopuszczają nawet rzemieślników.

Z Liwenhofu w gub. liflandzkiej nadesłał rzemieślnik odpowiedź, że władza żąda od Żydów świadectwa cechowego, ale cechów jest za mało, a przeto nie mogą oni go uzyskać.

Z kostromskiej gubernii pisze Żyd, że to wina wyłącznie współwyznawców, którzy chcą odrazu robić świetne interesy na tym przyjeździe do wewnętrznych gubernii, a rozczarowawszy się, porzucają z pretensyami nową miejscowość. Przybysz, nie chce sam pracować, lecz bierze odrazu dużo czeladników i źle na tem wychodzi.

P. Chałecki z Odesy uważa, że wyjeżdżać powinni tylko kawalerowie albo żonaci zaraz po ślubie z posągiem, lecz takim właśnie wiedzie się tutaj najlepiej i nie chcą emigrować ani do Ameryki, ani do głębi Rosyi.

„Doświadczony" sądzi, że zakładanie warsztatu jest rzeczą zbyt trudną i kosztowną. Łatwiej byłoby przyjeżdżającym pracować w obcych warsztatach, ale nie chcą ich przyjmować, zapewne jako inowierców.

P. T. z Rzeżycy w gub. Witebskiej uważa, że niewątpliwie w miastach rosyjskich jest już dosyć własnych rzemieślników.

P. Garelik z Carycyna powiada, że główną przeszkodą są dzieci: synów niema potem gdzie kształcić, a gdyby zabrali się do innego fachu, nie do rzemiosła, musieliby wyjechać; córek nie można wydawać za mąż, bo zięć-rzemieślnik nie ma prawa pobytu. Wreszcie gdy na starość rzemieślnik-Żyd przestaje pracować z braku sił, musi również porzucić miasto w głębi Rosyi, z nakazu władzy, która pozwala mieszkać tylko Żydom, przy rzemiośle zajętym.

W końcu do przyczyn powyższych zaliczyć należy żądanie, ażeby jakaś instytucya żydow-

ska, np. „petersburski komitet do wspierania Żydów, rolników i rzemieślników,“ zajęła się zorganizowaniem wysiedlania Żydów-rzemieślników do gub. wewnętrznych. Wspólnemi siłami dałoby się dużo zrobić, a dotąd o tem nie pomyślano.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Skutkiem starań oberpolicmajstra warszawskiego, ministeryum komunikacyj pozwoliło na bezpłatny przejazd kolejami tym robotnikom, którzy nie mogąc znaleźć pracy w mieście, pragną powrócić do miejsc rodzinnych.

— Z Poznańskiego wydalono robotnika Piotra Gąsiorowskiego, liczącego lat 60 wieku, jako obcego poddanego. Wyemigrował do Prus, mając lat 5.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora okręgu naukowego, że z praw służby państwowej w warszawskim okręgu naukowym korzystać mogą tylko kobiety, wykładające w wyższych klasach gimnazyów żeńskich, lub szkół miejskich, czyli zajmujące posady nauczycielskie, dające przywileje do praw służbowych.

— Osobom, pragnącym kształcić się w zakładach naukowych za granicą, pozwolono zdawać egzamina przy gimnazyach męzkich, z tem zastrzeżeniem, aby na świadectwach wymienione było, w jakim celu zostały wydane.

— W *Gaz. Pols.* czytamy: Zarząd jednej ze szkół prywatnych, realnych tutejszych, z prawami rządowemi, do wykładów pewnego przedmiotu zaprosił profesora uniwersytetu. Profesor propozycyę przyjął, okazało się jednak, iż stanowiska objąć nie mógł, brakowało mu bowiem świadectwa na nauczyciela gimnazyum. Dopiero po załatwieniu tej formalności profesor uniwersytetu uzyskał możność wykładania w tej szkole.

— Dnia 16 lipca odbył się we Lwowie wiec nauczycieli ludowych w Galicyi, w którym wzięło udział 1,500 uczestników.

— **Zdrowie publiczne.** Opracowano projekt rozszerzenia programu szkół felczerskich i utworzenia specyalnych kursów dla kobiet felczerek.

— Pozwolenia na otwarcie składów aptecznych udzielone będą osobom, posiadającym przynajmniej stopień pomocnika aptekarskiego.

— W Teheranie grasuje cholera.

Literatura i prasa. Wydano rozporządzenie, ażeby na afiszach i programach teatralnych, obok tytułów sztuk, wymienione były nazwiska autorów.

Ze sztuki. *Kur. Warsz.* donoszą ze Lwowa, że jury, złożone z architektów i artystów, oceniało projekty na pomnik Chmielowskiego, wydając następujące (do radcze dla komitetu) orzeczenie: „Ponieważ komitet rozporządza grobowcem o 4 m. kwadratowych przestrzeni, przeto *jury* w tych warunkach pierwszeństwo oddaje projektowi Wojtowicza, na drugiem miejscu stawia rysunek Ostrowskiego; na trzeciem projekt Bełtowskiego Gdyby się pomnik stawiało na miejscu znacznie obszerniejszem, wówczas pierwszeństwo przyznanoby jednogłośnie przedewszystkiem projektowi Piotra Harasimowicza, architektonicznie przeprowadzonemu najumiejętniej i wywierającemu powagą swoją wrażenie imponujące.“

— Dnia 17 b. m. odsłoniono pomnik Pasteura na placu Breteuil, w Paryżu.

— W lutym roku przyszłego w Petersburgu urządzoną zostanie, na korzyść wdów i sierot po poległych na wojnie żołnierzach wystawa portretów rosyjskich, powstałych w przeciągu ostatnich dwu stuleci od r. 1706 do r. 1905. Wystawa ma zawierać portrety wykonane przez rosyjskich malarzy oraz podobizny Rosyan, malowane przez cudzoziemców; mieścić się będzie w salach pałacu taurydzkiego Na komisarza generalnego wystawy wybrano p. S. Djagilewa, redaktora i wydawcę pisma artystycznego *Mir Iskustwa.*

— Pomnik Ryszarda Wagner'a, który ma stanąć w Lipsku, mieście rodzinnem znakomitego muzyka zostanie wykonany przez prof. Maksa Klinger'a, pochodzącego również z Lipska. Projekt model, przedstawiony radzie miejskiej, uzyskał powszechne uznanie.

Sprawy ekonomiczne. Zawiązała się w Warszawie spółka udziałowa szewców, w celu sprzedaży hurtownej i detalicznej swych wyrobów w kraju, Cesarstwie i zagranicą. Udziały oznaczone na 110 rb., wnoszone jednorazowo lub ratami. Nowe zrzeszenie będzie miało nazwę „Spółki udziałowej szewców warszawskich, chrześcian“ i rozpocznie swą działalność z chwilą przystąpienia do niej 200 uczestników.

— W celu uniknięcia fałszowania wina zagranicznego ministeryum rolnictwa wystąpiło z projektem sprowadzania tego produktu tylko w butelkach.

Według urzędowego sprawozdania w dniu 14 stycznia r. 1903 w Królestwie Polskiem było czynnych kas oszczędności bankowych i pocztowo-telegraficznych: w gub. Warszawskiej wraz z Warszawą 131; z sumą wkładów 16,884,995 rb., w gub. Kaliskiej 48 z 1,653,353 rb.; Kieleckiej 41 — z 883,894 rb.; w Łomżyńskiej 34 — z 1 508,454 rb.; w Lubelskiej 53 — z 2,971,654 rb.; w Piotrkowskiej 68 — z 6,071,053 rb.- w Płockiej 32 — z 1,558,721 rb.; w Radomskiej 42 — z 1,220,863 rb.; w Suwalskiej 34 — z 1,905,387 rb.; i w gub. Siedleckiej 33 kasy z sumą wkładów oszczędnościowych 1,772,395 rb. Wszystkich książeczek oszczędnościowych było 246,734.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj poleciło zarządom kolei skarbowych przyspieszyć załatwienie spraw o wynagrodzenie za śmierć lub kalectwo na kolejach, tudzież upoważniło je do samodzielnego decydowania w razach, jeśli wynagrodzenie nie przenosi 10,000 rb. jednorazowo lub 1,000 rb. rocznie.

Poczta. Główny zarząd pocz i telegrafów wydał rozporządzenie, ażeby żądania skierowania przekazów pieniężnych, telegraficznych w inne miejsce lub do innego odbiorcy załatwiano nie pocztą, lecz telegraficznie. Opłata za takie zawiadomienie pobierana będzie za 20 słów przy 200 rb., przy sumie wyższej — za 25 słów.

Katastrofy. Cyklon zburzył część miasta Bozel w Sabaudyi — kilkanaście osób straciło życie; kilkanaście osób padło też ofiarą nawałnicy w zeszłym tygodniu w Niemczech.

Pożary. W ostatnich czasach spaliły się: 34 domy w Stawiskach, gub. Łomżyńskiej; 37 zabudowań we wsi Leszki Szlacheckie, pow. Piotrkowskim; 30 zabudowań w Dobrzelinie, pow. Kutnowskim; 17 chat i kilkanaście stodół we wsi Dratów, pow Lubelskim; 14 zabudowań w Kornicy, pow. Konstantynowskim; 50 budynków w osadzie Grabowcu, pow. Hrubieszowskim; 74 zabudowania w os. Krzepice, pow. Częstochowskim; 124 domy i budynki gospodarcze w os. Stawiski, pow. Kolneńskim; 31 domów i tyleż innych zabudowań we wsi Lubowe, pow. Kalwaryjskim; 11 budynków we wsi Urzędów, pow. Janowskim; 30 domów mieszkalnych i tyleż zabudowań gospodarczych w Sobolewie pow. Garwolińskim; 50 gospodarstw we wsi Witkowo pod Włoszczową; 16 gospodarstw we wsi Wencki, pow. Częstochowskim; kilkanaście morgów lasu wzdłuż kolei Nadwiślańskich.

Zmarli. Julian Preis, polski pisarz ludowy w W. Ks. Poznańskiem; w Bydgoszczy, w 85 roku życia.

— Jan Wdowiszowski, dyrektor krakowskiego Muzeum techniczno-przemysłowego.

— Antoni Czechow, satyryk i nowelista rosyjski, w Badenweilerze, nad Renem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Іюля 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.